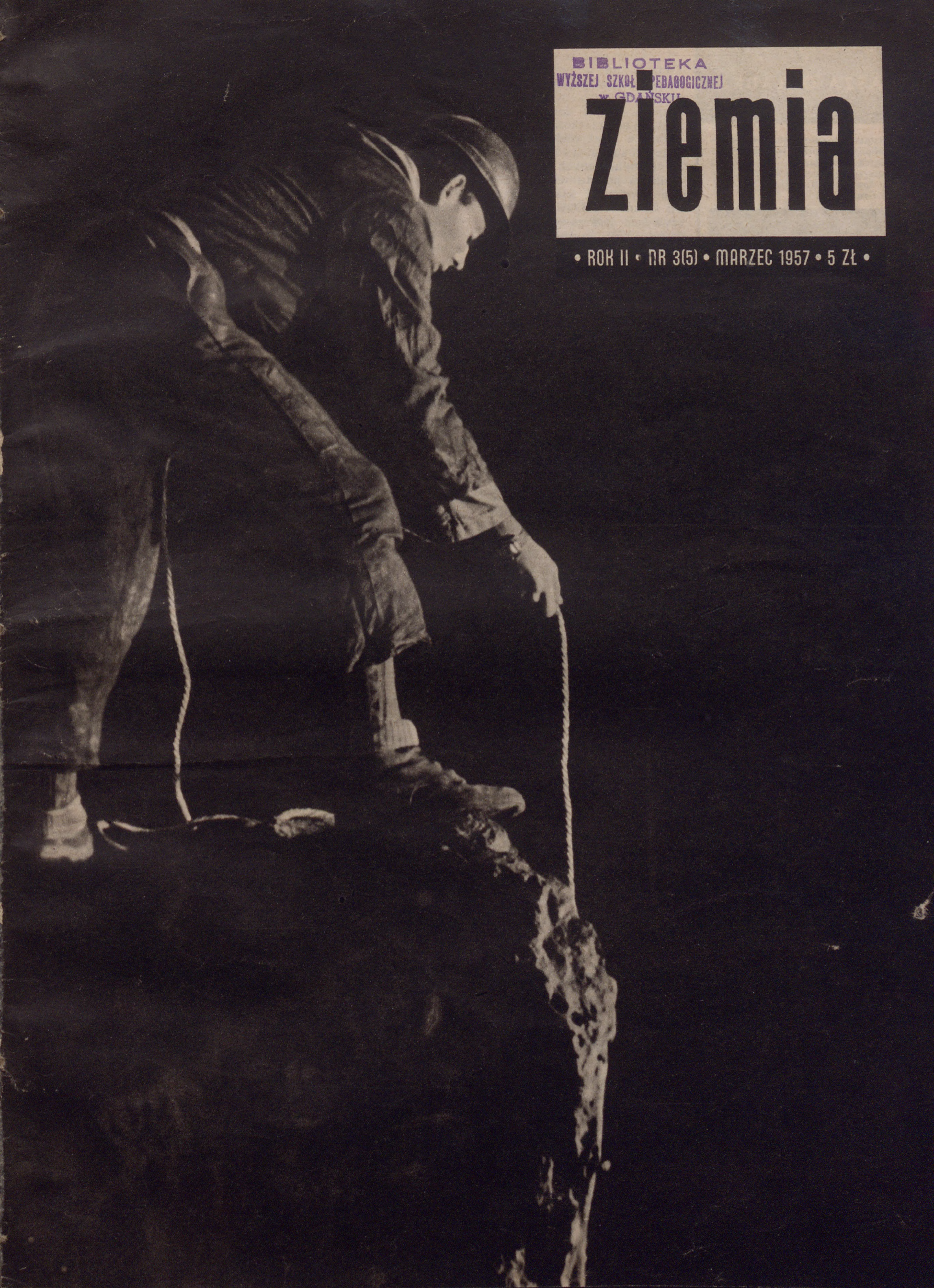


BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
w GDAŃSKU

ziemia

• ROK II • NR 3(5) • MARZEC 1957 • 5 ZŁ •



NASZA OKŁADKA

przedstawia pomiar głębokości jaski-
ni, dokonywany przez jednego z kra-
kowskich grotolazów. Na str. 31
zamieszczamy recenzję książki „Zja-
wiska krasowe” Kunskiego. Fot. Ry-
szard Gradziński.



W NASTĘPNYM NUMERZE m. in.:

DYNGUS NA KUJAWACH
GRUDZIĄDZ
PISANKI LUBELSKIE
WIZYTA W LUBIAŻU
SIUDA BABA

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumeratę na II kwartał br. (i na-
stępne) przyjmują placówki pocztowe,
listonosze, centrala „Ruchu” w War-
szawie, Srebrna 12 (konto PKO dla
wpłat 1-6-100 020) oraz Oddziały
„Ruchu” w Warszawie, w miastach
wojewódzkich i powiatowych TYLKO
DO 10 — MIESIĄCA POPRZEDZAJĄ-
CEGO NOWY KWARTAŁ.

Warunki prenumeraty — kwartal-
nie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie
60 zł.

Czytelnicy posiadający krewnych
lub znajomych za granicą mogą za-
mawiać prenumeratę naszego pisma
ze zleceniem wysyłki za granicę
w P.K.W.Z. „Ruch”, Warszawa, Wil-
cza 46, tel. 864-84, wewn. 69 (nr kon-
ta PKO 1-6-100 024. Cena prenumera-
ty zagranicznej — kwartalnie 19.50,
półrocznie 39 zł, rocznie 78 zł.

Ziemia

— ilustrowany miesięcznik krajo-
znawczy, organ Polskiego Towarzystwa Tu-
rystyczno-Krajoznawczego. Przewodniczący ko-
mitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI,
redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BUR-
CHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZY-
BOWSKI, sekr. red. — LESZEK DZIĘGIEL,
red. graficzny — JANUSZ MILEWICZ, red.
działu — MARIAN KORNECKI. Tymczasowy
adres redakcji: Kraków, plac Wiosny Ludów 8,
tel. 571-04. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO
NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleński 14,
596-76. Nakład 20 000 egz. Papier rot. 70 g.
Do składania 1. II. 1957. Podpisano do druku
20. III. 1957. Druk ukończono w kwietniu 1957.
Zam. 72/57. M-16

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE.
ul. Manifestu Lipcowego 19.

Cóż robi biedny letnik,
który trafia w czasie pobytu
w Sopocie na pogodę taką, że
przymarza do plaży, który nie
znajduje trzech innych chęt-
nych do bridża, któremu wresz-
cie nie w smak rozkosze zatłoc-
zonych kawiarni i dansingów?
Z niewielu innych sposobów
umilenia pobytu wybiera cza-
sem wycieczki krajoznawcze.
Do Gdańska i Oliwy — to o-
czywiście jest zawsze w pro-
gramie. Cóż jeszcze? Na Hel,
do Malborka lub do kaszubskiej
Szwajcarii. Mało kto jednak
wybiera się na Żuławy, w del-
tę Wisły. Jestem turystą wtór-
nym, to znaczy — jestem tury-
stą dlatego, że jestem history-
kiem sztuki. Nic więc dziwnego,
że obrałem Żuławy jako pierw-
szą spośród rozmaitych możli-
wości wycieczkowych. Spako-
wałem przybory fotograficzne,
kilka kanapek, żonę, kopną-
łem kilkanaście razy „Jawę” i
wkrótce już mijałem ostatnie
zabudowania gdańskich przed-
mieść.

Pierwsza większa wieś, Wo-
cławki, zawiodła. Gotycki ko-
ściół spalony, zabudowa nie-
zbyt ciekawa. Dalej na wschód
...wzdłuż gładkiej taśmy asfal-
tu jakieś smutne, bezdrzewne,
barokowe osiedla. Dopiero
w Serowie zatrzymał nas na
chwilę charakterystyczny ko-
ściółek z „pruskiego muru”
(według nie ustalonej nomen-
klatury polskiej — konstrukcji
szachulcowej czy ryglówko-
wej). Wygląda trochę śmiesz-
nie jak różowe pudełko pokrat-
kowane szkieletem drewnianej
konstrukcji.

„Linia, którą się posuwamy —
podejmuję wykład profesors-
kim tonem — linia łącząca
Gdańsk z Elblągiem, rozdziela
dwa tereny dwóch historycz-
nych etapów osadnictwa żu-
ławskiego. Na południe osadni-
ctwo datuje się z czasów krzy-

PRZEZ ŻUŁAWY

Tadeusz Chrzanowski

żackich, na północ natomiast
teren został wyrwany morzu
dopiero w w. XVI. I tu głów-
ny trzon osadnictwa stanowili
Holendrzy, menonici”. „Holen-
drzy — to rozumiem specjaliści
od depresji. Ale co to znaczy
menonici?” „Nie jestem bieg-
łym religioznawcą — w każ-
dym razie jest to sekta religij-
na, coś zbliżonego do anabap-
tystów. Wiem tylko, że nie
uznawali wojen i nigdy się w te
rzeczy nie bawili”.

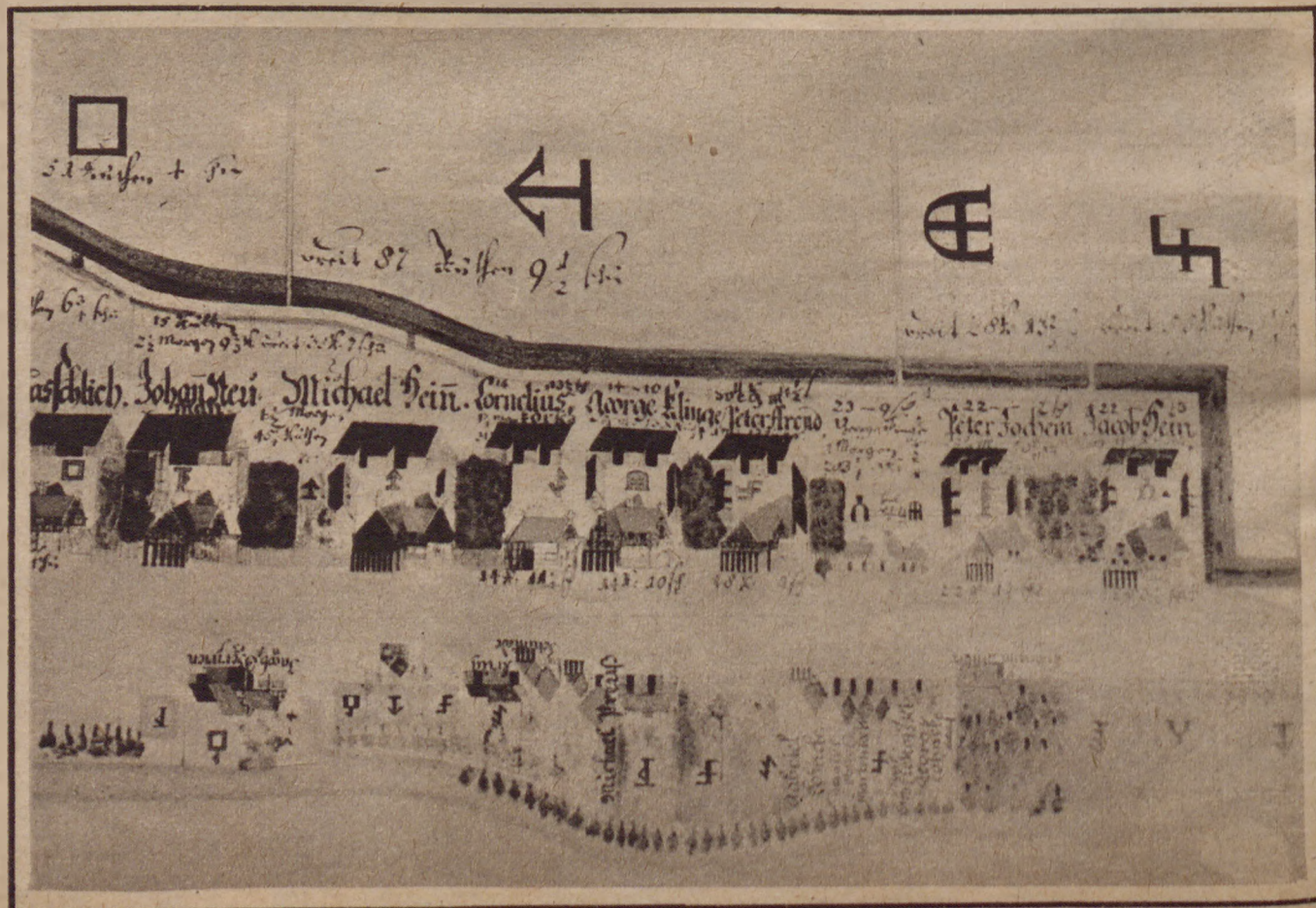
— Bardzo słusznie! — przy-
znała żona i ruszyliśmy dalej.
Wisła. Bardzo leniwa, brudna
i niezbyt szeroka, zubożona o
Nogat i Motławę. Most ponto-
nowy wyprawia dziwaczne po-
drygi: jego poszczególne czło-
ny to wspinają się do góry, to
znów opadają — jedzie więc
jednak nie zdecydowały się w
którą podążać mają stronę.

Pierwsza wieś za Wisłą i
pierwsze przykłady budownic-
twa tych okolic. Wieś nazywa
się Nowa Kościelna, a domy
podcieniowe są dwa — jeden z
XVIII w., drugi z połowy XIX.
Pierwszy — duży, dostojny,

szeroko rozsiadły przy drodze,
drugi — niezwykle ozdobny
aż nieco śmieszny z tą drewnia-
ną ludowo-klasycystyczną de-
mokracją. Nad wejściem znaj-
dują datę budowy i nazwisko
budowniczego: Wilhelm Klaas-
sen, Bauherr 1840. O deko-
racji — nieco później.

Przed Nowym Dworem skrę-
camy na południe. Przy drodze
skromny dom podcieniowy i
uroczą gotycką kaplicą z dre-
wnianą wieżą. To Orłowo. O
kilometr dalej tak zwane PGR
Orłowo. Stoi tu dom zbudowa-
ny przez Piotra Loewena w la-
tach trzydziestych XIX w. Ten-
że Piotr Loewen wystawił i pod-
pisał się na trzech innych do-
mach w najbliższej okolicy, tak
więc wysuwa się — wśród bez-
imiennych przeważnie budo-
wniczych żuławskich — na je-
dno z pierwszych miejsc. (vide
Ochrona zabytków nr 1-2 1956,
Jerzy Stankiewicz: *Piotr Loewen
budowniczy żuławski*).

Następna wieś, Lubieszowo,
ma niezwykle malowniczy ko-
ściół o wysokiej, gontowej igli-
cy. Niestety, nie odnalazłem
tam bardzo interesującej zagro-



dy z r. 1749, znanej mi z bibliografii. Moje niedopatrzanie czy jeszcze jedno manko w naszym bardzo dziurawym bilansie za-
bytków?

Nowy Staw. Na przedmie-
ściu, zaszyty w przydrożne
drzewa dom o pięknej szacul-
covej konstrukcji podcienio-
wego piętra. Dalej rynek zam-
knięty masywem fary o nie
ukończonych, monumentalnie za-
planowanej dwuwieżowej fa-
sadzie zachodniej.

Ponieważ najbliższa przepra-
wa przez Wisłę jest dopiero w
Tczewie, zawracamy na Nową
Kościelną. Po drodze jeszcze
jedna „zabytkowa” wieś: Jezio-
rany. Znow uroczy gotycki ko-
ściółek z drewnianą wieżą i

znowu domy z podcieniami.
Typ owych domów zaczyna
się powtarzać, denerwujemy
się, chcemy silniejszych wra-
żeń...

I rzeczywiście... dojeżdżając
do Trutnowych ujrzałem go z
daleka. Dodałem gazu i po
chwili już wylądowaliśmy pod
rozłożystym podcieniem. Dom
Rexinów z 1720 r. Wszystko to
wypisane pięknie majuskułą na
belkach piętra. Szczyt części-
wo zrekonstruowany urzeka
prostym a szlachetnym rysun-
kiem drewnianego szkieletu.
Podcienie otwiera się równym
rytmem smug pochylonego ku
zachodowi słońca. Zaglądamy
do sieni: okazja do nowego za-
chwytu. Dopiero wówczas zda-

jemy sobie w pełni sprawę z
charakteru owych domów zu-
ławskich: toć to nie chaty ani
nawet domy wiejskie — to po-
 prostu rezydencje, które ani
wymiarami, ani wystrojem nie
ustępują przeciętnemu szla-
checkiemu dworowi w Polsce
centralnej. Tyle że nie są to
dwory — udzielne organizmy
wyodrębnione z szarej biedy
osiedla, lecz — całe wsie dwo-
rów, ich właściciele — to nie
szlachta wprawdzie, ale zamo-
żnością przewyższający nieraz
„szlachcica na zagrodzie”. Wła-
ściciele owych domów nie mie-
li herbów, ale mieli za to gmer-
ki, znaki własnościowe, a prze-
de wszystkim posiadali łany
niezwykle urodzajnych pól,

glebę powstałą z iłów nanie-
sionych w ciągu wieków przez
wody wiślane, a przede wszy-
stkim: mieli tuż pod nosem
Gdańsk, jeden z węzłowych
portów bałtyckich w handlu
zbożem.

Powróćmy do sieni. Jest to
piętrowe pomieszczenie, coś w
rodzaju sporego hallu, otocz-
ne galerią dającą dostęp do
izb górnej kondygnacji. Panuje
tu lekki półmrok pogłębiony
brązowym kolorystem boa-
zerii, stropu i balustrady. Na
drzwiach — intarsje... Dosło-
wnie każdy szczegół wystroju
uderza i precyzją wykonania i
dużym smakiem artystycznym.
Jeszcze jeden dom podcie-



(powyżej) Kościółek w Serowie. Kon-
strukcja ścian z tzw. „pruskiego mu-
ru”. Wszystkie zdjęcia autora.

(z prawej — u góry) Dom Rexinów
we wsi Trutnowy, wzniesiony w r.
1720. Uderzająca ozdobność drewnia-
nego szkieletu ściany.

(z prawej) Podcień domu Rexinów
we wsi Trutnowy.

(z lewej) Fragment planu katastral-
nego wsi Suchy Dąb, wykonanego
w r. 1667 przez geometrę z Malborka
Daniela Beckera. Charakterystyczne
gmerki (znaki własnościowe) ozna-
czają poszczególne pola.



Najstarszy dom na Żuławach i jeden z najstarszych tego typu w Polsce. Znajduje się we wsi Lipce, wzniesiony został około r. 1600.

niowy, w Trutnowych, wydaje się w porównaniu z domem Rexinów ubogi i prymitywny. Kościół utracił niestety podczas wojny piękną drewnianą wieżę. Słońce nieubłaganie przybliża się do widnokregu — trzeba jak najspieszniej wracać. Nieco wybojów i w Pruszczu osiągamy autostradę. A tu ostatnia niespodzianka: poczciwy los schował na sam koniec wyprawy największą atrakcję.

Ten ostatni dom stoi sobie całkiem zwyczajnie, przy szosie, wśród nudnej, podmiejskiej ceglanej architektury. Osiedle nazywa się Lipce, leży między św. Wojciechem a Orunią. Już na pierwszy rzut oka dom różni się od wszystkich widzianych poprzednio. Jest usytuowany do drogi szczytowo, piętrzy się ponad przysadzistymi słupami podcienia potężną szachownicą białych pól i czarnego szkiele-

tu. Górna kondygnacja wysuwa się nieznacznie ku przodowi... Gdy pierwsza furia fotograficzna mija, zaczynam się bacznie przyglądać szczegółom. Uderza natychmiast jakaś masywna prostota tej konstrukcji: słupy podcienia z ozdobnie wyciętymi mieczowaniami dźwigają potężne fazowane belki. Tam, gdzie górna kondygnacja wysuwa się ku przodowi, znów fazowana belka. Zaraz... zaraz...

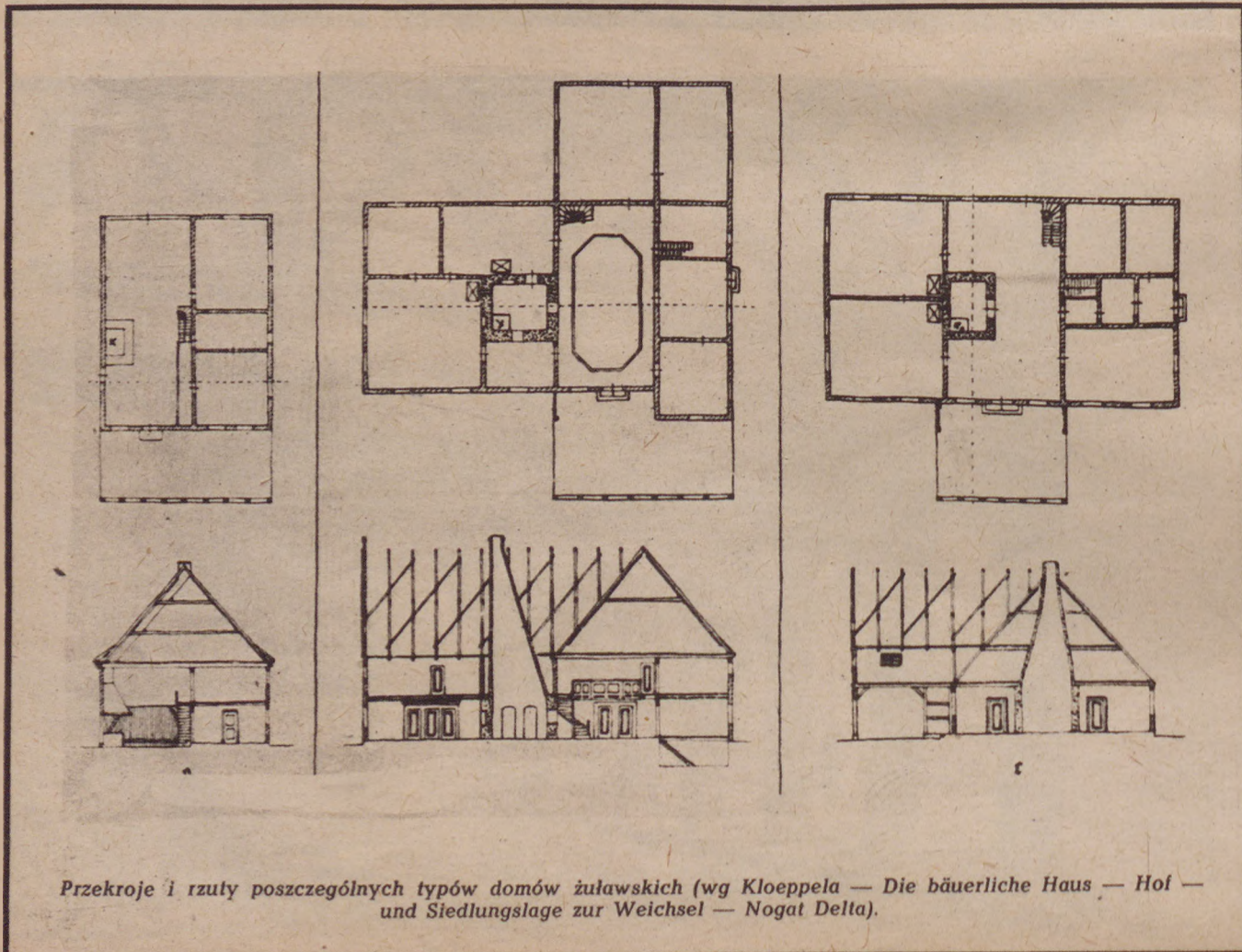
jakieś gotycko renesansowe skojarzenia nasuwają się same... czyżby to było możliwe? Wiek XVIII? Niemożliwe. XVII? Co najwyżej sam początek. A może nawet XVI stulecie?

Istotnie. Zaraz po powrocie z wycieczki sprawdzam i Kloepfel potwierdza moje datowanie: czas powstania domu w Lipcach umiejscawia około roku 1600. Jest to bezspornie najstarszy dom na Żuławach i jeden z najstarszych (oczywiście tego typu) na obszarze całej Polski.

Jeżeli już mowa o Kloepfelu, autorze najobszerniejszego, jak dotychczas, opracowania budownictwa żuławskiego (W dziele zbiorowym: *Die Weichsel-Nogat Delta*. Gdańsk 1924), to warto wspomnieć o — skromnej zresztą — bibliografii przedmiotu. A więc ważniejsze domy opisał Bernhard Schmid w wielkiej inwentaryzacji zabytków tych terenów (*Die Bau und Kunstdenkmäler der Provinz Westpreussen*). Zakrojone na dużą skalę dzieło Zirkwitza (*Das Dorf um Danzig*), poza czymś w rodzaju prospektu, nie ukazało się w druku z powodu wybuchu wojny. Ponadto wspomniany powyżej artykuł w „Ochronie Zabytków” i kilka przyczynkowych czy marginalnie traktujących ten temat prac — to już wszystko.

Czas teraz uporządkować nieco chaotyczne wrażenia, ponudzić nieco systematykę. Kloepfel wiąże genezę budownictwa żuławskiego z pochodzeniem niemieckich osadników w delcie Wisły i skleja z tych niezbyt udokumentowanych przesłanek trzy zasadnicze typy domów: dolnoniemiecko-saksoński, górnoniemiecko-frankoński, oraz typ pośredni — mieszany. Niestety, same nazwy nie mówią wiele, analogie schematów rzutów sprowadzają się do pewnych ogólnych reguł, a przede wszystkim ów „typ pośredni — mieszany” jest dla Żuław najbardziej charakterystyczny, najbardziej „żuławski”. Poza tym sam Kloepfel przyznaje, że podcienie jest w wymienionych przezeń pierwowzorach prawie nieznanie, a przecież właśnie podcienie — o czym nieco dalej — stanowi dominantę tego budownictwa, jak — z zachowaniem wszelkich proporcji — kolumnowy portyk w architekturze antyku lub dekoracja fasad gotyckich katedr.

Nie tu miejsce na rozważanie zagadnienia genezy rzutu, konstrukcji czy dekoracji omawianych domów. Temat to godny „uczonych” niemieckich, którzy potrafią wyprowadzić każdy typ architektoniczny albo z antyku, albo z mroków pragermańskich sag (vide np. E. Kulka, *Die Laube als ostgermanisches Baumerkmal*, gdzie autor wyprowadza podcienie z budownictwa Ostgotów i Wizygotów, przyta-



Przekroje i rzuty poszczególnych typów domów żuławskich (wg Kloepfela — *Die bäuerliche Haus — Hof — und Siedlungslage zur Weichsel — Nogat Delta*).

czając jako przykład krzywą wieżę w Pizie, Pałac Dożów w Wenecji i kaplicę królewską w Naranco).

Nie to jest zresztą ważne, skąd ewentualnie wzięto pierwowzory. W ciągu trzech przeszło wieków pewien typ budownictwa zrosł się tak mocno z terenem Żuław, przeżył tam swą własną ewolucję, że dziś nie można już mówić o żadnym fikcyjnym saskim czy frankońskim typie, lecz tylko i wyłącznie o typie żuławskim.

O ile rozważania Kloeppla dotyczące pochodzenia typu żuławskiego nie przekonują, o tyle sam podział formalny nie może być kwestionowany. Upraszczając terminologię ograniczę się do podziału na typ pierwszy, drugi i trzeci. Spróbujmy je pokrótce scharakteryzować:

TYP PIERWSZY chronologicznie najstarszy, wykształca się zapewne już w w. XVI. Trwa — w uproszczonej z biegiem czasu formie do początków w. XVIII. Jedyny klasyczny przykład to właśnie ów dom w Lipcach. O istnieniu licznych domów tego typu w w. XVII informują nas plany katastralne (np. bardzo interesujący plan wykonany przez geometrę Daniela Beckera w r. 1667, a przedstawiający wieś Suchy Dąb, gdzie większość domów należy już do typu drugiego, lecz przynajmniej dwa reprezentują typ pierwszy). Cechą zasadniczą typu pierwszego jest usytuowanie budynku szczytowe, przy czym podcienie zajmuje całą szerokość domu. Ściana szczytowa podzielona na dwie kondygnacje, przy czym górna wysunięta nieco do przodu.

TYP DRUGI pojawia się już w połowie w. XVII, niknie w końcu w. XVIII. Ma to pewien historyczno-gospodarczy aspekt: typ drugi jest najbogatszy i najbardziej reprezentatywny ze wszystkich trzech odmian i łączy się z okresem największego rozkwitu gospodarczego Gdańska i — co za tym idzie — jego najbliższych okolic. W rzucie jest to jak gdyby typ pierwszy, wzbogacony skrzydłem bocznym, równoległym do drogi (jest to więc o tyle typ mieszany, że jest częściowo usytuowany szczytowo jak typ pierwszy, częściowo zaś kalenicowo — jak typ trzeci). Tak więc rzut zbliża się do litery T czy L z piętrzem wspartym na podcieniu wysuniętym w miejscu przecięcia dwóch skrzydeł. Dalszą cechą tego typu jest to, że piętro jest z reguły mieszkalne, gdy tymczasem w typie I zawsze, a w typie II najczęściej pomieszczenia górnej kondygnacji pełniły funkcję gospodarczą (np. jako spichrze). W układzie wnętrza charakterystyczna jest wysoka i obszerna sieni z obiegającym ją wokół gankiem dającym dostęp do izb piętra. Z sienią są-



1 Dekoracja podcienia domu wzniesionego w roku 1840 we wsi Nowa Kościelna. Architekt Wilhelm Klassen.

2 Budownictwo żuławskie ekspandowało i na sąsiednie obszary. Dom z końca XVIII w. ze wsi Ostrów, pow. Ostróda. Fot. M. Pohorski.

3

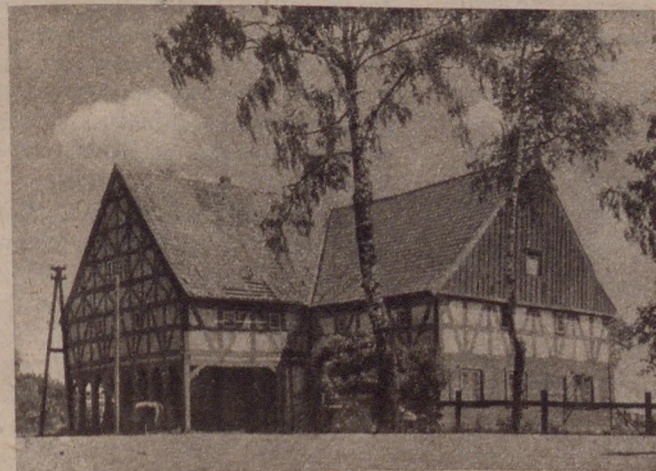


3 Dom z r. 1840 ze wsi Nowa Kościelna (fragment na zdj. 1).

4 Dom Wiebów, wzniesiony w XVIII wieku we wsi Nowa Kościelna.

5 Podcieniowy dom zbudowany w drugiej połowie XIX wieku, wieś Jeziorany.

4



5



siaduje z reguły kuchnia — o niej jednak nieco dalej. Spośród domów wzmiankowanych

powyżej do tego typu należą: dom w Nowej Kościelnej oraz dom Rexinów w Trutnowych.

TYP TRZECI wykształca się dopiero w wieku XVIII, jako skromniejszy, praktyczniejszy

i lepiej dostosowany do przeciętnych potrzeb wiejskich nie tylko trwa do lat siedemdziesiątych w. XIX ustępując dopiero przed „nowoczesnym” tandetnym budownictwem ceglany, lecz nadto rozpowszechnia się w szerokim zasięgu na obszar powiatów: elbląskiego, pasłęskiego, morąskiego, suskiego i sięga nawet na Warmię. Budynki usytuowane są kalenicowo (dłuższą ścianą do ulicy), a od frontu wysuwa się pięterko wsparte na podcieniu.

Fragment najstarszego domu na Żuławach, zbudowanego we wsi Lipce około roku 1600. Zwróćcie uwagę na mieczowania słupów podcienia.

(u dołu) Dekoracja podcienia domu z połowy XIX wieku we wsi Trutnowy.



Ten typ jest obecnie na Żuławach reprezentowany najliczniej, a do najciekawszych należą budynki z pierwszej połowy w. XIX ze względu na oryginalną dekorację o cechach klasycystycznych.

Strona konstrukcyjna przechodzi również znaczną ewolucję. W typie pierwszym panuje niepodzielnie szachulec (ryglówka), ale już w typie drugim parter jest najczęściej budowany na zrąb i już tylko piętro oraz szczyty są z szachulca. (Korpus murowany z cegły oraz dach mansardowy zdarza się na tym terenie zaledwie w kilku wypadkach i jest wyjątkiem potwierdzającym regułę). W typie trzecim szachulec zostaje zredukowany wyłącznie do pięterek podcieniowych ewentualnie szczytów bocznych, a w XIX wieku ustępuje nieraz na rzecz konstrukcji czysto drewnianej.

I jeszcze raz sprawa podcieni. Kloepfel poświęca im wyjątkowo mało uwagi, uznając je za element słaby, towarzyszący budownictwu żuławskiemu od XVI wieku. We wczesnej fazie są to proste, rzadko profilowane słupy z ozdobnie wyciętymi mieczowaniami. Na uwagę zasługuje tu wahanie się ilości słupów podcieniowych od 4 do 10 przy niewielkich stosunkowo różnicach w szerokości budynku. Interesująca jest hipoteza, że ilość słupów w podcieniu świadczyła o zamożności właściciela: ile słupów, tyle łąn (należy pamiętać, że tzw. łąn chełmiński wynosił około 32 morgi — daje to ogólne pojęcie o zamożności mieszkańców Żuław). Czy podcienie wywodzi się z budownictwa miejskiego? Znów wycofam się ze zbyt daleko prowadzących rozważań (bo jeżeli przyjmujemy, że podcienie wywodzi się z zabudowy rynków miejskich, to z kolei jesteśmy w prawie uznać, że podcień miejski wywodzi się z krużganków klasztornych, a znów krużganki klasztorne... Pozostajmy więc lepiej przy zagadnieniu właściwym). Zresztą w wypadku Żuław problem jest jednoznaczny: jest to problem urbanistyki zabudowy wiejskiej. Nie należy bowiem zapominać o jednym: w innych częściach kraju domy podcieniowe to były budynki reprezentacyjne, wybijające się spośród nieozdobnej, skromnej zabudowy. Na Żuławach natomiast całe wsie były podcieniowe. I w tym sensie istnieje niewątpliwie podobieństwo między pierwotnym wyglądem wsi Suchy Dąb (wg planu z r. 1667), Osice czy Lichnowy Wielkie a Długim Rynkiem w Malborku.

Pierwotnie podcienie spełniało funkcję nie tylko reprezentacyjną, lecz i gospodarczą: na pięterku znajdował się spichrz i wóz podjeżdżał pod podcienie dla dokonania wyładunku czy załadunku. Później, zwłaszcza w końcu w. XVIII,

wyszło to z użycia, o czym mogą świadczyć „podcienia zamknięte”, gdzie słupy umieszczone po bokach uniemożliwiały wjazd. W tym samym momencie zaczyna się szybki rozwój dekoracji zarówno podcienia, jak i całego pięterka. Słupy są coraz ozdobniej profilowane aż przekształcają się w kolumny. Mieczowania tracają sens konstrukcyjny na rzecz czystej dekoracji — zmieniają się w wycinane w drzewie draperie. Jeden z najpiękniejszych przykładów tego rodzaju dekoracji jest wspomniany wyżej dom w Nowej Kościelnej, wzniesiony w r. 1840 przez Wilhelma Klaassena. Kolumny mają tu kapitele „jońskie” z komicznymi i uroczymi zarazem wolułkami. Pomiędzy kolumnami festony, a w belkowaniu fryz z naiwnie stylizowanych palmetek — całość jak dekoracja do romantycznej opery-buffo.

Raz jeszcze wypada mi tu podkreślić wysoki poziom cieśli i stolarki, która z pietyzmem zajmuje się każdym detalem architektonicznym, każdym dekoracyjnym szczegółem w wyposażeniu wnętrza. Stolarzka ta tworzy i pseudopilastrów ramy narożników zrębu, i okiennice, i ozdobne klepkowe drzwi, i lekkie balustrady schodów, szafy ściennie, i boazerie.

O jeszcze jednym elemencie domów żuławskich chciałbym tu wspomnieć, mianowicie o kuchniach. Kloepfel określa je jako „polskie” nawiązując do tak zwanych czarnych izb. Jest tu pewna pomyłka: czarne izby, znane szczególnie z terenów Podhala, to po prostu — izby w których mieściła się zarazem kuchnia i których ściany, wobec braku komina, powlokły się w ciągu lat czarnym osadem sadzy. Kuchnie, które znajdujemy na Żuławach, to istotnie kuchnie: mieszczą się całkowicie w kominie (komin „sztagowy” lub „butelkowy” — tu też z nomenklaturą bałagan), który w przekroju przypomina rzeczywiście butelkę, wewnątrz której mieści się palenisko. I tu ściany są pokryte czarnym osadem, ale nie można tego systemu mylić z czarnymi izbami. Tego rodzaju piece czy kominy znajdujemy i na Mazurach, i na Podlasiu (np. spotkałem się z piecem tego rodzaju w tzw. starym dworze w Iłowie pow. Działdowo).

Czy w związku z tak bujnym rozwojem budownictwa żuławskiego wysuwają się jakieś nazwiska twórców, jacyś architekci reprezentowani większą ilością zabytków? Bo niewątpliwie budowniczymi tych domów to nie byli uzdolnieni cieśle jak w budownictwie drewnianym innych obszarów Polski. To byli architekci wykwalifikowani. Niestety, badania archiwalne nie przyniosły na razie danych co do pochodzenia, wykształcenia, a przede wszystkim twórczości poszcze-

gólnych budowniczych żuławskich. Co więcej, większość domów to dzieła anonimowe i tylko niektóre noszą na belkach podcienia czy w nadprożach podpisy budowniczych i daty powstania: a więc garść nazwisk, o których trudno coś więcej powiedzieć, zwłaszcza, że nazwiska (za wyjątkiem Piotra Loewena) prawie nigdy nie powtarzają się na kilku domach i o twórcach tych można mówić w przenośni, że są to autorzy *unius libri*. Znamienne jest jednak to, że zarówno wzmiankowany wyżej Piotr Loewen, jak i Wilhelm Klaassen podpisują się Bauherr, a więc: kierownik robót, projektodawca — a więc: architekt w pełnym tego słowa znaczeniu.

Czas kończyć, to znaczy — co już staje się niestety regułą dla historyka sztuki piszącego o zabytkach swego kraju — czas polamentować nad stanem zachowania owych pięknych domów. Uczynił to już przedemną Jerzy Stankiewicz w cytowanym artykule w „Ochronie Zabytków”. W ogólnej sytuacji katastrofalnego stanu zabytków polskich, stan domów żuławskich jest z pewnością jedną z pomniejszych, lokalnych katastrof. Nie należy jednak zapominać, że tego rodzaju zespół, jaki znajdujemy w wioskach Wisły, Nogatu i Motławy, jest czymś na naszym terenie wyjątkowym. Cdzie indziej można przejechać przez szereg wiosek nie odnajdując śladu zabytku: tu znajdujemy je na każdym kroku i najwyższej rangi artystycznej.

Jak ratować te domy? Jest to niezwykle trudny problem. Ludzie, którzy po 1945 roku przybyli na Żuławę, nie okazują przywiązania do tego rodzaju zabytków, nie rozumieją w ogóle ich znaczenia. Rozmawiałem z mieszkańcami domów w Nowej Kościelnej i Jezioranach, wszędzie słyszałem to samo: „Uznali tę budę za zbytek i nie pozwalają rozebrać, a my byśmy tu wystawili taki porządnny, murowany dom. „Skutek? Mili lokatorzy czekają, by „buda” rozpadła się sama, pomagają jej w tym nawet. Widziałem kilka opuszczonych, widziałem dwa zawalone już domy. Oczywiście — później zbuduje się tu dom nowy: ohydny, ceglany „pakatus”.

Może kiedyś znajdą się fundusze na ratowanie najpiękniejszych przykładów. Może kiedyś przeprowadzi się szeroką akcję uświadamiającą społeczeństwu rolę i znaczenie zabytków przeszłości. Miejmy nadzieję... tak, na razie miejmy tylko nadzieję, że nowi mieszkańcy Żuław pojmą wreszcie, że w domu zabytkowym można także wygodnie mieszkać. Byle tylko opieką otoczyć sędziwe jego ściany.

Tadeusz Chrzanowski

• BORSUK •

KAZIMIERZ KOWALSKI



ZDJĘCIA: JANUSZ CZECZ

P przed kilku laty wczesną jesienią szukałem jaskiń na północ od Ojcowa wśród zarosłych gęsto krzewami skał Sułoszowej. Właśnie zatrzymałem się na chwilę nieruchomo, kiedy za załomem skały dało się słyszeć głośne tupanie i sapanie. Jeszcze kilka sekund i o parę metrów ode mnie pojawił się borsuk. Jego czarnobiała głowa ostro kontrastowała z brunatną barwą liści. Po zrobieniu paru kroków zauważył mnie dopiero. Przystanął zaniepokojony, podnosząc pysk i wężąc. Potem zawrócił i szybko, ale nie bez godności odszedł.

To spotkanie z borsukiem było czymś wyjątkowym. Choć występuje on dość licznie w całej Polsce, to jednak tak rzadko opuszcza swą jamę w ciągu dnia i tak skryte prowadzi życie, że większość ludzi wie o nim zaledwie tyle, iż jest dostarczycielem najlepszej szczeciny na pędzle do golenia. Nawet dla zoologów życie borsuka kryje ciągle jeszcze wiele zagadek.

Borsuk należy do rzędu drapieżników i spokrewniony jest z łasicami. Długość jego ciała wraz z ogonem dochodzi do 1

m przy wysokości około 30 cm. Waga wynosi zwykle około 15 kg, ale wyrosnięte, tłuste samce osiągają jesienią 20 kg, a wyjątkowo nawet 35 kg. Ciało borsuka jest krepie, a krótkie, bardzo silne nogi przystosowane są do grzebania. Sylwetką borsuk przypomina trochę niedźwiedzia, z którym łączy go też wspólna stopochodność i przystosowanie uzębienia do rozcierania pokarmu roślinnego. Ślad borsuka chodzącego na całej stopie łatwo odróżnić od śladu lisa, który stąpa na palcach. Sierść ma borsuk długą, szczeciniastą, na grzbiecie szarą, a od spodu czarniawo-brunatną. Szczególnie charakterystyczne dla borsuka jest ubarwienie głowy. Jest ona bowiem biała, a przecinają ją dwie szerokie czarne pręgi przez oczy.

Borsuki zamieszkują całą Europę i Azję północną i środkową aż po Pacyfik. U nas żyją w całym kraju prócz wysokich gór, ale tylko tam, gdzie znajdują niewielkie choćby, spokojne obszary lasów. Ciekawy fakt opisał w r. 1947 Jan Zabiscki, ówczesny dyrektor ogrodu zoologicznego w Warszawie. Otóż w czasie odgruzowy-

wania ulicy Foksał, w śródmieściu Warszawy, niespodziewanie schwytano borsuka. Prawdopodobnie dostał się on na teren Warszawy po powstaniu w czasie, gdy była ona opuszczona. Później, gdy stolica odżyła, pozostał uwieczony niejako wśród ruin, gdzie jednak znajdował dość pokarmu w postaci gryzoni, owadów i roślin.

Borsuk bowiem — choć zaliczany ze względu na budowę do rzędu ssaków drapieżnych — jest zwierzęciem wszystkożernym. Zjada on często młode dzikie króliki (na dorosłe polować nie potrafi i często chrońnią się one w jego norach), myszy, szczury, norniki, krety. Lubi także jeże, z których kołcami dobrze sobie radzi. Czasem zjada jaja ptasie, żaby i węże. Główny pokarm borsuka stanowią jednak ślimaki, dżdżownice i owady. Bardzo chętnie rozkopują borsuki gniazda os i trzmieli i nie bojąc się ukąszeń jedzą larwy i owady dorosłe. Wreszcie borsuk zjada również pokarm roślinny: żółędzie, brukiew, cebulki roślin, a nawet jagody, młode liście i trawę. Nie przynosi więc człowiekowi żadnej szkody a nawet pożyteczny jest w gospo-

darstwie leśnym dzięki niszczeniu owadów i gryzoni. W żadnym razie nie zasługuje więc na tępienie. Jest on wprawdzie zwierzęciem łownym (czas polowań 1. X — 31. XII), ale pożytek z zabitego borsuka ogranicza się właściwie do włosia na pędzle i niezbyt cennej skórki.

Jak już poprzednio wspomniałem, przyczyną słabego poznania obyczajów tego zwierzęcia jest tryb życia borsuka. Dzień spędza on w norze, którą sam kopie. Nory zakładane są zwykle w pagórkowatych terenach leśnych, a często także w szczelinach skał. Tak np. wśród szczelin skalnych na Cergowej Górze koło Dukli widziałem stare i rozległe nory borsuków zamieszkałe przez liczną kolonię tych zwierząt. Jamy są bardzo długie, sięgające kilkadziesiąt metrów, z wieloma otworami. W głębi znajdują się komory wyścielone mchem, suchą trawą i liśćmi. Tu rodzą się młode, tu też spędza borsuk dzień i okresy niepogody lub mrozów. W norach panuje zawsze wielka czystość; w przeciwnieństwie do lisa borsuk nie wciąga tam nigdy zdobyczy.

Nory opuszcza borsuk wieczorem, dobrze po zachodzie słońca. Spacerowane w dzień należą do rzadkich wyjątków. Głównym zmysłem borsuka, jak większości ssaków nocnych, jest węch. Wzrok reaguje przede wszystkim na ruch, stąd czasem zwierzę idąc z wiatrem podchodzi blisko do stojącego nieruchomo człowieka. Uszy borsuka są małe, prawie zupełnie ukryte w sierści, a słuch nie jest zdaje się nadzwyczajny.

Sprawy snu zimowego borsuka nie wyjaśniono jeszcze całkowicie. W Anglii, gdzie zimy są łagodne, zwierzę to czynne jest przez cały rok, czasem tylko w okresach mrozów spędzając parę dni w norach. U nas sprawa ta nie jest jeszcze należycie zbadana. Nieraz widywałem ślady borsuków na jesiennym śniegu, ale prawdopodobnie w czasie większych mrozów i śniegów borsuk nie prowadzi aktywnego trybu życia. W każdym razie jesienią jest on bardzo tłusty, a chudnie w okresie zimy, może też — jak stwierdzono — wytrzymać długi czas bez pokarmu.

Niedawno dopiero ustalono,



że zaloty i parzenie się borsuków odbywają się w lecie, w lipcu i sierpniu. Przez pierwsze cztery miesiące zarodki rozwijają się bardzo wolno, potem dopiero następuje szybki ich rozwój, trwający już tylko 3 miesiące.

Już w lutym i marcu rodzą się młode, których bywa od 1—5 (zwykle 2—3). Przez dziesięć dni po urodzeniu młode borsuki są ślepe, a dopiero po 8 tygodniach po raz pierwszy opuszczają jamy. Do października młode przebywają razem z rodzicami, potem opuszczają ich i zaczynają samodzielne życie. Po upływie półtora roku zdolne są do rozrodu. Długość życia borsuka osiąga co najmniej 15 lat. Prawdopodobnie pary przebywają z sobą przez wiele lat.

Borsuk zamieszkuje nasze ziemie od okresu zlodowaceń. W warstwach z czasu ostatniego okresu międzylodowcowego (ponad 100 000 lat temu) w jaskini w Dziadowej Skale we wsi Skarżyce pow. Zawiercie zbadał przez M. i W. Chmielewskich z Muzeum Archeologicz-

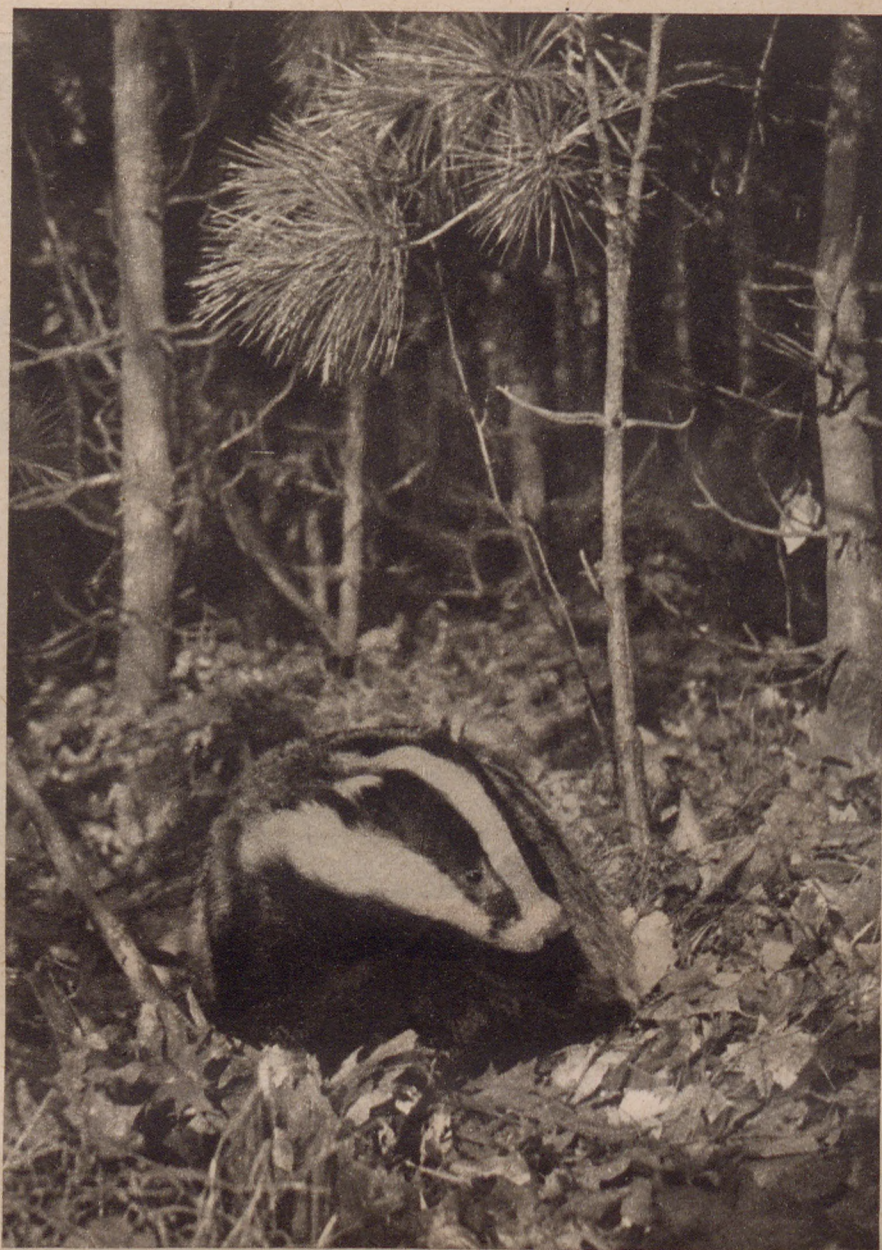
nego w Łodzi znalazłem obok kości niedźwiedzia jaskiniowego i hieny także szczękę borsuka. Borsuki sprawiają zresztą nieraz kłopot archeologom, bo kopiąc jamy w namuliskach jaskiń mieszają przedmioty z różnych warstw i zmuszają do wielkiej ostrożności w wyciąganiu wniosków z wykopalisk jaskiniowych. Bardzo wiele z tego, co wiemy dziś o borsuku, zawdzięczamy angielskiemu amatorowi-zoologowi E. Nealowi. Obserwował on niezwykle wytrwale życie borsuków w niewielkim lasku obok miejscowości, w której mieszkał. Nauczył się rozpoznawać poszczególne okazy, zrobił wiele doskonałych zdjęć fotograficznych przy świetle lamp błyskowych, a nawet — doprowadziwszy kabel elektryczny do lasu — przyzwyczał borsuki do wychodzenia z jam przy świetle lamp i nakręcił film z ich życia.

Wiele jednak zjawisk z życia borsuka w ogóle, a zwłaszcza w naszym kraju, czeka jeszcze na wyjaśnienie. Nie wiemy dokładnie, jaka jest liczebność i

rozmieszczenie borsuków w Polsce, czy ilość ich maleje, czy wzrasta, nie znamy przebiegu zimowania, zasięgu wędrówek młodych borsuków po opuszczeniu rodziców, zmien-

ności składu pokarmu w różnych okolicach i w różnych porach roku a także wielu innych szczegółów biologii tego zwierzęcia.

Kazimierz Kowalski



Niemalą przysługę nauce mogą oddać przyrodnicy-amatorzy, notując swoje spostrzeżenia o życiu borsuka. Przesyłajcie wiadomości i materiały do naszej redakcji lub bezpośrednio do Instytutu Zoologicznego PAN w Krakowie, Sławkowska 17.

RZĘKA KTÓRA NIE PŁYNIE

WIESŁAW TOMASZKIEWICZ

Staropolskie przysłowie powiada, że „dwie baby Polskę okradły“. Jedną z nich była królowa Bona, która opuszczając Polskę zabrała ze sobą do Włoch znaczne skarby, drugą zaś rzeka Baba pod Olkuszem zatapiająca często w dawnych czasach okoliczne kopalnie srebra i ołowiu. Jak wygląda ta rzeka?

Zróżła Baby znajdują się w lasku koło wsi Sieniczno, na wschód od Olkusza. Stąd płynie Baba na północ, przecina szosę wiodącą z Sułoszowej do Olkusza, okrąża wzgórze wapienne, na którym leży wieś Olelin, zwraca ponownie na południe tuż koło Olkusza i... gubi się w piaskach Pustyni Starczynowskiej. Tak to wygląda wszystko na mapie. W rzeczywistości — w terenie — nie jest tak łatwo odna-

leźć Babę. Bo ta rzeczka... nie płynie! A właściwie — okreśmy bliżej — płynie bardzo rzadko, raz na parę lat, i to przez stosunkowo krótki okres. Dlatego też nie tak łatwo zobaczyć ją można płynącą w całej swej okazałości. Jest ona z tego powodu ciekawym fenomenem na naszych ziemiach.

Wzdłuż zachodniej krawędzi pasma Jury Krakowsko-częstochowskiej wytryska wiele źródeł. Wody ich nie mogą przeciężyć obszarów piaszczystych i wsiąkają w nie po przepłynięciu często kilkudziesięciu, czy kilkuset metrów. Są to tzw. „poniki“. Można je spotkać np: w okolicy Olkusza, w Witeradowie, Mazańcu, Pomorzanach czy Kluczach. Jednym z największych „poników“ jest właśnie Baba. Ostatni

raz płynęła podobno dwa lata temu. Wśród okolicznej ludności wytworzył się pogląd, że Baba płynie tylko raz na 7 lat. Nie jest to ściśle. Brak szczegółowych, prowadzonych przez dłuższy okres obserwacji, uniemożliwia wyciąganie ogólnych wniosków. Baba przeważnie płynie w okresie roztopów wiosennych. Czasem tylko przez kilka tygodni, czasem zaś kilka miesięcy aż do lata włącznie. W innym zaś czasie przeważnie wyschnięte jej koryto błyszczy bielą piasku zarastając powoli trawą.

Długość Baby wynosi około 7 km. Wędrując zupełnie wyraźnie ukształtowanym korytem można spotkać w niektórych miejscach niewielki zbiornik wody stojącej i mokradła. Na poszczególnych odcinkach i w okresie

suszy płyną potoczki znikające nagle w piaskach tak jak się pojawiły. Po drodze przyjmuje Baba szereg dopływów. Oczywiście płynących również okresowo jak ona. Obszar, z którego spływają wody deszczowe ku Babie wynosi około 25 km². Zanim jednak wody te z miejsc wyżej położonych dotrą do Baby, spora ich ilość zdąży już wsiąknąć w piaszczyste podłoże. Kiedyś w prastarych czasach kierowała Baba swoje wody prawdopodobnie prosto na północ, wpadając do Białej Przemszy. Obecnie wody Baby po zniknięciu w piaskach zasilają przepływającą obok Pustyni Starczynowskiej rzekę Sztolę.

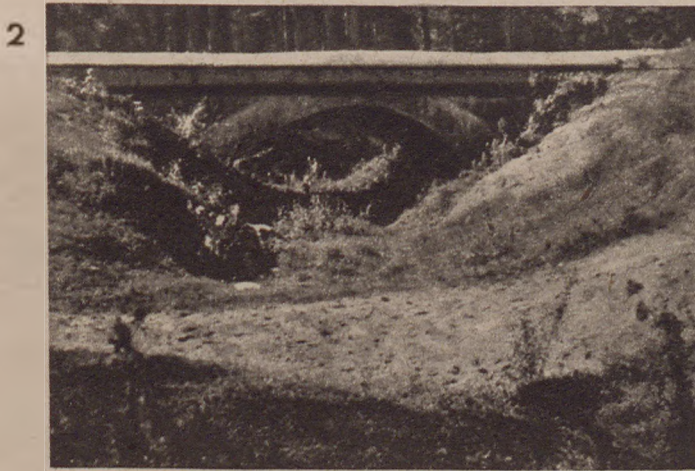
Imię Baby związało się na zawsze z historią górnictwa olkuskiego. Woda była od najdaw-

niejszych czasów plagą gwarków olkuskich. Czerpano ją z kopalń kruszcowych za pomocą wymyślonych kieratów. Z biegiem czasu nauczono się również przekopywać specjalne kanały podziemne — sztolnie — przeznaczone do odwadniania kopalń. Dla osuszenia zalewanych przez Babę robot górniczych wybudowano tzw. sztolnię pilecką, która odciągała wodę ku rzece Białej. Dopóki tylko mieszczanie olkusczy byli gwarkami, dopóty kopalnie były dostatecznie chronione przed zalewem, gwarkowie bowiem łożyli znaczne fundusze na budowę i utrzymanie odpowiednich urządzeń odwadniających. Odkąd jednak szlachta zaczęła się częściej trudzić gwarectwem, górnictwo olkuskie zaczęło podupadać. Nowi przedsiębiorcy w pogoni za zyskami, wszelkimi sposobami unikali nakładanych na nich ciężarów. Skutki tej polityki nie dały długo na siebie czekać. Do nie zabezpieczonych kopalń poczęła się wdzierać woda. Napróżno zwoływano gwareckie narady, które podejmowały różne uchwały tzw. „lauda“, mające na celu ratowanie zagrożonych kopalń przed groźącym niebezpieczeństwem. Rozumne te uchwały nie zawsze bowiem wprowadzano w czyn. Wody zaś pobliskich strumieni, z Babą oczywiście na czele, nie powstrzymywane przez nikogo, poczęły wdzierać się w podziemia kopalń. Szlachcie pragnącej tylko w jak najkrótszym czasie wzbogacić się, nie zależało zupełnie na przyszłości zagrożonych kopalń. Doprowadziło to w XVIII w. do całkowitego upadku górnictwa olkuskiego.

Walnie przyczyniła się do tego właśnie Baba. Oto kilka wyjątków z relacji historycznych o jej ożywionej działalności niszczącej w przeszłości.

Fragment relacji o wylewie wód w r. 1615 na wiosnę: „Dnia siódmego kwietnia na powód IMci P. olbornika z urzędu zupełnego górnego ilkuskiego, bolizmy posłani na widzenie y uznanie iak wielki szwank y szkodę tak sztolia Pilecka iaka y inszych wiele gór opolnych przez nagłą wodę Babą nazwaną, d. 20 Marca przypadła, przed tym niewiadomą takowey wielkości dodięły, która woda tak wielka była iż na równych miejscach na latrów 20 mniej albo więcej wylewała, a gdzie iey było wąsko, brzegi barzo głęboko wyrywała, zaczym y domów wiele zposiadało. Naprzód tedy widzieliśmy szwank y ruinę sztolia pileckiey, iż szybów y hantlochów sztolnych wiele pospadało zaczym woda dla hantlochów ku roznosowi spadłych wspaciwszy się wszystkie pomienionej sztolia szyby y opolne pozawalała, roboty kruszcowe y rudy potopiela y pozawalała...“

Urywek z relacji komisarzy królewskich wysłanych w r. 1674 do przejrzenia ekonomii olkuskiej „...wzlewek rzeki Baby. Niezwyczajnym od dawnych lat zalewkiem, rzeczka ta przy bytności Komissyi naszej, tak bardzo innudawit, że przez trzy dni y trzy nocy gwałtem wszystkim,



1 W wysychającym łożysku rzeczki pozostają miejscami niewielkie stawki. Wszystkie zdjęcia autora.

2 Most szosy Olkusz-Sułoszowa nad suchym obecnie korytem rzeki Baby, w którym rosną osty i trawa.

3 Zakręty koryta rzeki Baby, latem zupełnie wysychającego na północ od wzgórza olenińskiego.

4 Na niektórych odcinkach koryta rzeki Baby tworzą się mokradła, pokryte grubą warstwą glonów.

5 Leśny zbiornik wodny w korycie Baby niedaleko od jej źródeł

miasto grobel górniczych broniąc, utrzymać nie mogło tak straszne-go wody impetu, która, przerwawszy wszystkie obstacula swoje, góry te zatopiła, ziemię zawalila, popsowała...“

Umiała się Baba wspaniale maskować i nieraz długo czaiła się, by nagle, znicnacka dokonać wielkiego spustoszenia. Oto jeszcze jeden wyjątek z opisu zniszczenia sztolni ponikowskiej w r. 1703 podanego przez sztygara Błażeja Gorącego:... „na znacznieysze w tym roku 1703^{uo} z rzeki Baby, która zwykla chodzić z rezolucii zimy albo deszczów wielkich iako się teraz trafiło die 1^{mo} Julii w nocy z piątku na sobotę woda przypadła rzekę Babą, y wpadła w doły kędy furstusy wykłęzowali między górą Stanisławowej Imci Pani Krauzowej, a między górą Nataniela Imci P. Griblera i tę górę zatopiła, także y inne góry, także y sztolę Ponikowską...“

Tak to mały, pozornie nieporadny strumień zapisał się ponuro na kartach historii górnictwa olkuskiego.

Po ostatniej wojnie odżyły na nowo dawne tradycje przemysłowe tych stron. Powstały pod Olkuszem ogromne zakłady hutnicze cynku i ołowiu. Uruchomiono również liczne kopalnie.

Baba przestała być już groźna dla nowych kopalń i nowocze-

nych metod eksploatacyjnych. Dawna szkodnica i niszczycielka jest już dzisiaj tylko ciekawostką geograficzną. Być może, iż dlatego, obrażona i zagniewana,

rzadziej niż dawnymi czasy ukazuje się w swym korycie. A może znowu coś knuje?

Wiesław Tomasziewicz

Fragment piaszczystego łóżyska rzeczki Baby w lecie, gdy zupełnie pozbawione jest ono wody.



Jak powstał krakowski węzeł kolejowy

JULIUSZ DEMEL

„Zanim upłynie rok bieżący, Kraków będzie posiadał bezpośrednie połączenie kolejowe z wielu liniami pruskiego Śląska, Czech i Austrii, a w roku następnym prawdopodobnie będzie stanowił centralny punkt ważnej linii kolejowej między Adriatykiem a Bałtykiem.“ „Ze względów handlowych musi być bardzo ważne, nawet dla Anglii, posiadanie punktu oparcia w tak ważnej miejscowości jak Kraków, w centrum wielkiej sieci kolei, łączącej Zachód ze Wschodem“. — Pisał w roku 1846 angielski przedstawiciel dyplomatyczny w Warszawie w raporcie dla rządu Jego Królewskiej Mości.

parową koleją żelazną, wielkim wynalazkiem cywilizacyjnym XIX stulecia, Kraków zapoznał się stosunkowo wcześniej. Spośród dużych ośrodków miejskich na ziemiach polskich jedynie Wrocław i Warszawa wyprzedziły go na tym polu i to nieznacznie. Jakkolwiek uruchomienie linii „krakowsko-górnośląskiej“ do Mysłowic nastąpiło już po likwidacji Wolnego Miasta Krakowa, bo jesienią r. 1847, ważne to przedsięwzięcie należy uważać w całości jeszcze za dzieło rządu Rzeczypospolitej Krakowskiej. W szczególności wspierał je ostatni prezes Senatu Wolnego Miasta, Schindler. Poprzez Mysłowice Kraków uzyskał wówczas połączenie kolejowe z Wrocławiem i Ber-

linem, oraz z Wiedniem (przez Koźle-Racibórz-Bogumin). W r. 1848 przybyło połączenie z Warszawą (przez Szczakową-Częstochowę). Świetnie zapowiadające się rychłe włączenie Krakowa do sieci kolei środkowo-europejskich budziło wśród krakowian żywe nadzieje pomyślnego rozwoju ich miasta oraz wielkich korzyści materialnych i kulturalnych. Nie inaczej oceniano sytuację w kołach gospodarczych innych dzielnic kraju jak również i poza Polską.

Gorące życzenia krakowian nie miały jednak się ziścić. Rząd austriacki, po zagarnięciu przemocą Krakowa w r. 1846, odciął go od pozostałych ziem polskich barierą wysokich ceł. Wbrew

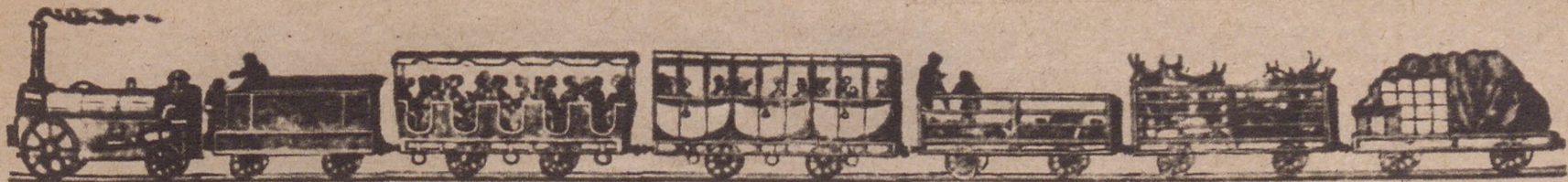


Obraz T. B. Stachewicza, przedstawiający wyjazd pierwszego pociągu z Krakowa do Mysłowic w roku 1847. Pociąg mija właśnie Mydlniki.

oczekiwaniom, Kraków nie stał się przez szereg lat następnych żadnym węzłem kolejowym. Jedyna linia wiodąca na zachód była tylko ślepą boczną wielkiego ruchu kolejowego środkowej Europy. Ważna trasa Warszawa-Wiedeń przebiegała nie pod Wawelem, lecz przez Górny Śląsk, przesądając na przyszłość rozwój Katowic jako najważniejszego węzła kolejowego południowej Polski.

Scharakteryzowane powyżej położenie było jednak mało dogodnie nie tylko dla mieszkańców Krakowa, lecz i dla rządu austriackiego. Wykupiwszy w r. 1851 linię Kraków-Mysłowice z rąk prywatnego towarzystwa akcyjnego, nie wiedział on — zgodnie zresztą z uświęconą austriacką tradycją

państwów — co począć dalej. Pomiedzy Krakowem a Wiedniem brak było połączenia kolejowego, biegnącego nieprzerwanie przez austriackie terytorium państwowe. Możliwość komunikacji istniała tylko poprzez terytorium pruskiego podówczas Śląska. Uzależniało to Austrię od Prus, co było tym mniej dogodne, że stosunki pomiędzy tymi krajami w połowie wieku XIX nie były bynajmniej przyjazne. W Austrii istniał co prawda ogłoszony nawet drukiem już w r. 1836 plan budowy linii kolejowej Wiedeń-Bochnia. Trasa ta miała przebiegać przez Morawy i Śląsk Austriacki do Bogumina, następnie zaś prawym brzegiem Wisły, przez Podgórze, lecz z ominięciem samego miasta



Krakowa w ówczesnych jego granicach administracyjnych. Dla Krakowa byłby to cios bardzo dotkliwy, toteż mieszkańcy miasta — władze miejskie, kupiectwo — protestowali przeciw tym zamiarom. Rząd austriacki na razie nie spieszył się z decyzją, ograniczając się do prac wstępnych, gromadzenia materiałów i wykupu terenów na wschód od dworca krakowskiego. Do końca r. 1853 zbudowano tylko odcinek Bochnia-Dębica, bez połączenia z Krakowem. Przyczyna tak dziwnego na pozór postępowania była prosta: oto w Wiedniu nie namyślono się jeszcze, którą prowadzić linię do Bochni: prawym czy lewym brzegiem Wisły. Uruchomienie krótkiego odcinka Bochnia-Dębica nie opłacało się zupełnie, toteż tory kolejowe pomiędzy tymi miejscowościami porastały spokojnie trawą, wydzierzawianą na wypas dla bydła, aby choć w części zwrócić koszty utrzymania strażników nieczynnej jeszcze kolei.

Kto wie, jaka zapadłaby ostateczna decyzja w wiedeńskich ministerstwach, gdyby nie nagle powikłania w polityce wschodnioeuropejskiej. Jesienią roku 1853 wybuchła wojna krymska, w następnym roku zagraża już otwarcie konflikt zbrojny austriacko-rosyjski. Gdyby doszło do działań wojennych, terenem ich po stronie austriackiej stałaby się przede wszystkim ówczesna Galicja. Wtedy to, podczas koncentracji wojsk austriackich nad granicą rosyjską, wystąpiły w całej jasności ogromne niedostatki systemu komunikacyjnego Galicji, m. in. brak linii kolejowej do Lwowa. Pod naciskiem naglącej konieczności rząd wiedeński przestaje się wahać. Wybiera rozwią-

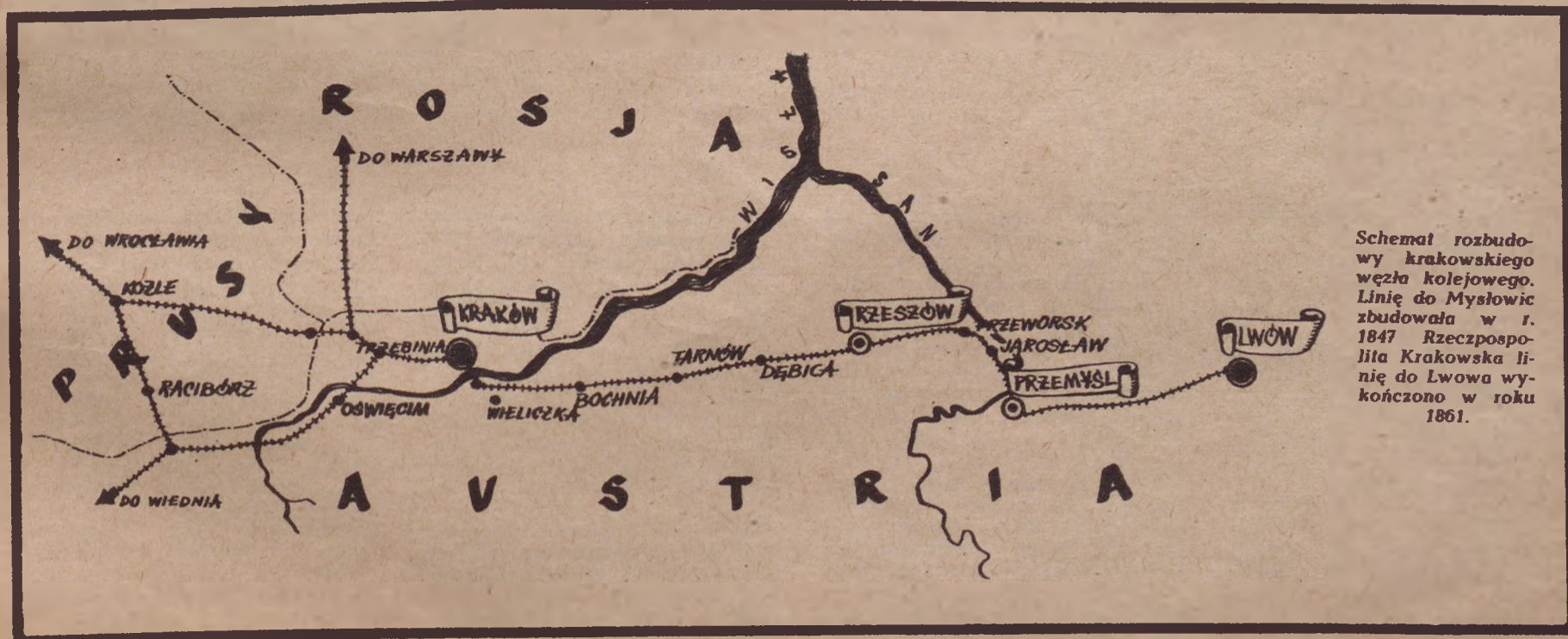
zanie rokujące nadzieję najszybszego wykonania: połączyć poprzez terytorium austriackie Bogumin z linią Kraków-Mysłowice, połączyć Kraków z Bochnią, i rozbudować, ile się tylko da, linię na wschód od Dębicy, w stronę Lwowa. Rozpoczynają się forsowne prace, prowadzone bez względu na porę roku i pogodę, nawet nocami, przy świetle pochodni! Dowództwo armii austriackiej odkomenderowuje do tych robót, niezmiernie ważnych strategicznie, kilkanaście tysięcy żołnierzy. Chłopskie furmanki bezustannie zwożą ziemię na nasypy oraz wszelkie niezbędne materiały. Praca posuwa się nadzwyczaj szybko, rząd wyjątkowo nie skąpi pieniędzy ze skarbu państwa. W Krakowie, na Wesołej i Grzegórkach, w Podgórzu, na wytyczonej trasie przyszłej linii kolejowej na wschód rozbiera się wiele zabudowań prywatnych, a podobny los groził przez czas pewien także kościołowi św. Mikołaja. W r. 1855 gotowy jest wysoki nasyp na Blichu oraz prowizoryczne na razie, drewniane mosty kolejowe na dwóch ówczesnych ramionach Wisły w Krakowie: tzw. Starej Wiśle, płynącej jeszcze dzisiejszymi ulicami Dietla i Daszyńskiego, oraz na głównym korycie, odpowiadającym dzisiejszemu, między Kazimierzem a Podgórzem. Za Podlężem trzeba było przewyciężyć znaczne przeszkody terenowe w postaci rozległych mokradel. W tym czasie gotowy jest już dworzec kolejowy w Tarnowie. Jesienią roku 1855, w połowie października, pierwszy pociąg przejechał trasę Kraków-Dębica, witany po drodze triumfalnymi bramami. Zaczęto już także budować dalszy odcinek, do Rzeszowa. Jednocześnie w podob-

nym tempie postępowały prace na południowy zachód od Krakowa, między Boguminem a Trzebiną, gdyż tę ostatnią miejscowość wybrano za punkt połączenia nowej linii z dawniejszą, „krakowsko-górnośląską”. Obydwie linie: Bogumin-Trzebinia i Kraków-Dębica oddano w całości do użytku z początkiem r. 1856. Niebezpieczeństwo wojny austriacko-rosyjskiej rozwiało się tymczasem zupełnie, pozostała natomiast realna korzyść z ówczesnym wojennym przygotowaniem w postaci wspomnianych nowych połączeń kolejowych. Kraków zyskał na tym bardzo wiele, przede wszystkim przez to, że znikła zmora możliwości pominięcia go przy bezpośrednim połączeniu Wiedeń-Lwów.

W najbliższych latach rozbudowano nieco sieć kolejową w okolicach Krakowa. W r. 1857 doprowadzono linię do górniczej Wieliczki. Sól wielicka i bocheńska eksportowano w dużych ilościach do ówczesnego Królestwa Polskiego, przy czym znaczne transporty przesyłano do Warszawy galarami, z przystani wiślanej w Niepołomicach. W r. 1858 przeprowadzono linię kolejową także i do Niepołomic, do tamtejszego składu solnego nad Wisłą. Nie bez znaczenia był także wywóz węgla z zagłębia krakowskiego, głównie z Jaworzna. W r. 1856 połączono i tę miejscowość linią kolejową. Znacznie wcześniej, bo już w r. 1847 przeprowadził taką linię „węglową” prywatny przedsiębiorca Westenholz do swojej kopalni w Dąbrowie. Inicjatywa Westenholza zasługuje na szczególną uwagę, gdyż starania o przeprowadzenie linii kolejowej (na razie konnej) prowadził on jeszcze w latach trzydziestych ubiegłego wieku, w czasach Wol-

nego Miasta. Wzorował się przy tym na projekcie inspektora kopalń rządowych, Skórzewskiego, sięgającym jeszcze r. 1816.

Dalsze losy budowy linii kolejowej w kierunku Lwowa miały chwilami przebieg niezwykle dramatyczny. Warto wspomnieć, że budowa kolei galicyjskiej napotykała na początku znaczne opory, przede wszystkim ze strony właścicieli wielkich majątków rolnych, obowiąujących się konkurencji tańszych ziemiopłodów wschodniej Galicji, Ukrainy i Rumunii. Rząd austriacki od r. 1854 odstępuje od przestrzeganej dotąd przez siebie zasady, że linie kolejowe powinny znajdować się w ręku państwa, i popiera budowę kolei prywatnych. Około nowego przedsięwzięcia budowy kolei do Lwowa, rokującego wysokie i pewne zyski, rozgorzała zacięta rywalizacja pomiędzy potężnym towarzystwem Kolei Północnej (Wiedeń-Bogumin, tzw. linia cesarza Ferdynanda), grupującym kapitały wiedeńskie, przede wszystkim Rotschilda, a zawiązanym w Galicji stowarzyszeniem polskich kapitalistów, przede wszystkim wielkich właścicieli ziemskich, na którego czele stanął Leon Sapieha. Kryzys gospodarczy r. 1857, połączony z olbrzymim krachem na wszystkich giełdach świata, postawił całą imprezę na czas pewien pod znakiem zapytania. Ostatecznie koncesję na budowę linii do Lwowa otrzymało towarzystwo galicyjskie, wywiązując się z zobowiązania w r. 1861, gdy pierwszy pociąg zjechał na peron nie wykończonego jeszcze lwowskiego dworca, na dwa lata przed terminem przewidzianym koncesją. Natomiast ówczesne linie kolejowe na zachód



Schemat rozbudowy krakowskiego węzła kolejowego. Linię do Mysłowic zbudowała w r. 1847 Rzeczpospolita Krakowska linię do Lwowa wykończono w roku 1861.

od Krakowa wykupiło od państwa towarzystwo kolei północnej. Odtąd przez okres kilkudziesięciu lat Kraków stanowił punkt styczny pomiędzy dwiema wielkimi prywatnymi liniami kolejowymi.

W ten sposób w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku Kraków stał się poważnym, choć nie pierwszorzędnym, ośrodkiem kolejowym na wielkim szlaku rozbudowywanym stopniowo poza Lwów, i łączącym wkrótce wschodnią Galicję, południową Rosję i Rumunię z Galicją zachodnią, Królestwem polskim, Śląskiem, Morawami, Czechami i Austrią. Wzmógł się silnie ruch towarowy i pasażerski na dworcu krakowskim, liczba pociągów wzrosła w r. 1856 do 22 na dobę, w porównaniu z zaledwie 4 jeszcze w r. 1853. Rozwój ten był jednak bardzo jednostronny, wyłącznie po linii wschód-zachód. Brakowało bezpośredniego połączenia na północ i północny wschód, do Królestwa Polskiego, na Kielce i Lublin, oraz na południe, na Węgry. I w przyszłości rozwój krakowskiego węzła kolejowego postępował jednostronnie, koncentrując się przede wszystkim na prawym brzegu Wisły (Podgórze-Płaszów-Bonarka). Zaciężyła na nim w sposób widoczny bliskość ówczesnej granicy rosyjskiej, odległej o kilkanaście zaledwie kilometrów.

Linie kolejowe wokół Krakowa, po uruchomieniu, chociaż budowane często w pośpiechu, na ogół dobrze zdawały swój praktyczny egzamin. W niektórych tylko wypadkach tory okazywały się za słabe w stosunku do ciężaru parowozów. Prowizoryczne mosty drewniane trzeba było wkrótce zamieniać na stałe. W Krakowie most na starej Wiśle przebudowano na mury w r. 1863, wznosząc obecny wiadukt u początku ulicy Grzegorzeckiej. Projektowane zamiast tej budowy przesunięcie biegu koryta Starej Wisły nie zostało wykonane skutkiem kategorycznego sprzeciwu Podgórze, obawiającego się zwiększenia niebezpieczeństwa powodzi. Most na głównym korycie Wisły, żelazny, konstrukcji amerykańskiej, a wykonany w fabrykach morawskich, oddano do użytku w r. 1864. Poważne roboty kolejowe zatrudniały przez dłuższy czas znaczną ilość robotników, i przyczyniały się w dużej mierze do rozładowania bezrobocia wśród proletariatu Krakowa i podkrakowskich wsi.

Pierwszy tabor kolejowy był pochodzenia niemieckiego i angielskiego. Parowozy nie miały początkowo żadnej osłony dla obsługi, jedynie odkrytą platformę obwiedzioną barierką. Pierwotnie posiadały one swoje imiona własne, np. „Kraków“, „Wisłok“, „San“ — niczym okręty. Wagony przez pewien czas jeszcze zewnętrznym swym wyglądem przypominały raczej tradycyjne zaprzęgi konne. Szybkość poruszania się nie ustępowała wiele dzisiejszym pociągom osobowym. Z Krakowa jechało się do Wieliczki 45 minut, do Wrocława 8½ godz. (z przesiadaniem w Mysłowicach). W r. 1853 wprowadzono na linii „krakowsko-górnośląskiej“ pierwsze pociągi pospieszne. Taryfy w Galicji były bardzo wygórowane, jedne z najwyższych w Europie. Pry-

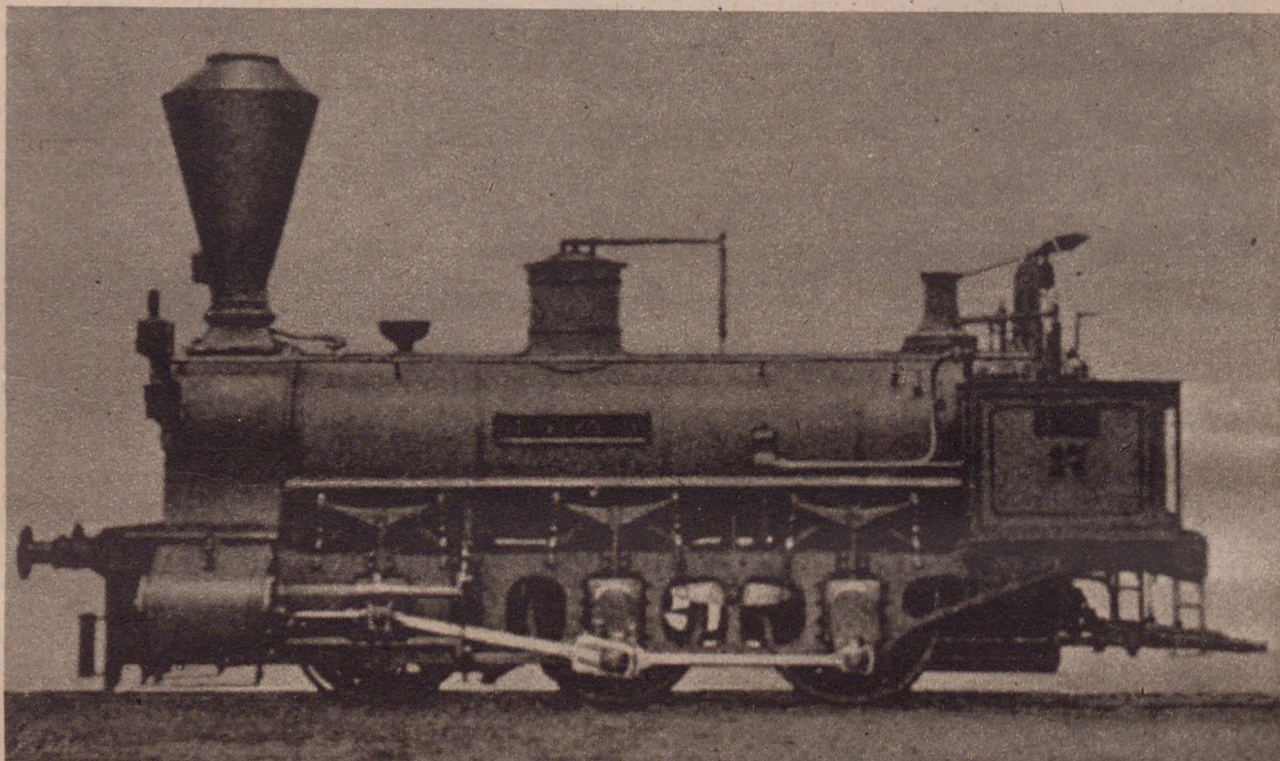
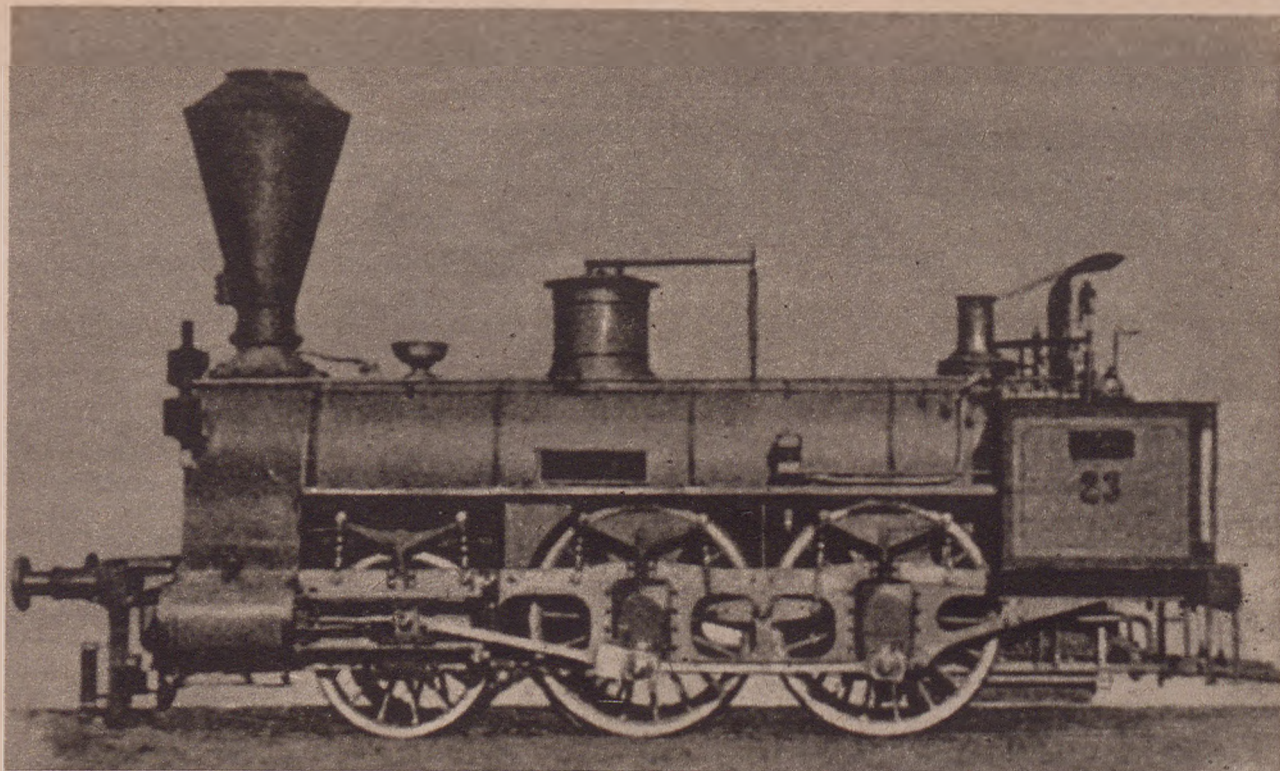
watne przedsiębiorstwo starało się przede wszystkim zapewnić akcjonariuszom maksymalny zysk, toteż dla najszerzych mas społeczeństwa ten środek komunikacji nie był jeszcze na codzień dostępny. Bezpieczeństwo podróży było stosunkowo duże, wypadki, których ofiarami byłiby pasażerowie, należały do rzadkości. Wciąż zresztą pojawiają się w tym czasie coraz to nowe projekty wynalazków mających na celu zabezpieczenie pociągów przed możliwością wypadku. Jednym z takim konstruktorów-amatorów był krakowianin, znany wówczas architekt, kolekcjoner i po trosze historyk, Teofil Żebrawski. Początkowo prawdzi-

wą i groźną plagą były zdarzające się wypadki rozkręcania szyn, podkładania kamieni itp. na torach, obrzucanie jadących pociągów kamieniami. Dokonywały tego w olbrzymiej większości wiejskie dzieci, pasące bydło w pobliżu linii kolejowych. Niebezpieczne te wybryki wpływały oczywiście z zupełnej nieświadomości ich sprawców, nie zaznajomionych jeszcze z widokiem i warunkami funkcjonowania kolei.

Krakowski dworzec kolejowy odgrywał poważną rolę w życiu miasta. Dzięki usytuowaniu go w śródmieściu, na samym niemal obrzeżu Plant, mógł być często i licznie odwiedzany. Urządzano

tam nieraz zabawy i koncerty orkiestr wojskowych. W r. 1848 stał się widownią gorących manifestacji w związku z przyjazdem do Krakowa polskich emigrantów politycznych z Francji. Szczególną popularnością cieszyły się tzw. „pociągi spacerowe“, przewożące w letnie niedziele tłumy mieszkańców Krakowa — do Krzeszowic, skąd odwiedzano klasztor w Czernej lub ruiny zamku tenczyńskiego, oraz okolicznościowe pociągi do Wieliczki, w dzień obchodzonego tam uroczystości święta górniczego, połączonego z efektownym oświetleniem podziemnych komór słynnej kopalni soli.

Juliusz Demel



(u góry) Parowóz pociągów osobowych na linii Karola Ludwika z roku 1859. Zwróćcie uwagę na brak osłony pomieszczenia dla obsługi.

Parowóz pociągów towarowych z linii Karola Ludwika, również z roku 1859.

(z prawej) Ilustracja z czasopisma „Kłosy“ (rocz. 1872 t. XIV) przedstawiająca unieruchomiony w zaspach śnieżnych pociąg linii Karola Ludwika.



Nawiązując do artykułu Z. Pęcherskiego *Kmina ochwieśnicka* („Ziemia”, nr 2, 1956) trzeba powiedzieć od razu, że „ochwieśnictwo”, tj. wędrowna sprzedaż obrazów, chociaż uprawiane także przez mieszkańców Ślesina czy Buczkowej, rozwinęło się jednak szczególnie szeroko w Skulsku. Właśnie Skulsk uzyskał zaszczytne miano „ojca ochwieśników” co z dumą dziś jeszcze starsi mieszkańcy miasteczka tego podkreślają, pogardliwą nazwą „kurzajów” darząc równocześnie ślesinian, uprawiających wówczas głównie handel drobiem.

Wprawdzie w dotychczasowej literaturze „ochwieśnicy” byli wzmiankowani kilkakrotnie, ale wiele szczegółów z historii tego oryginalnego ośrodka wędrownych handlarzy-obrazników pozostawało nadal niewyjaśnionych.

W Skulsku istnieje jednak żywa jeszcze tradycja pozwalająca na zebranie wiadomości o „ochwieśnikach” bądź bezpośrednio od osób które tym procederem się trudniły, np. Józef Wyderski czy Józef Chwalisz, bądź też od członków znanych i licznych rodów obrazniczych w Skulsku, jak Kobierscy, Brodeccy, Janiszewscy, Ciszewscy, Jackulscy, Białeccy czy inni.

Zastanawiać się można dlaczego właśnie Skulsk był tą miejscowością, która dostarczyła najliczniejszych i najbardziej przedsiębiorczych rzesz obrazników, których nie zrażały ani dalekie wędrowki, ani czujność straży pogranicznej, gdy w okresie zaborczym przebiegała tędy granica rosyjsko-pruska.

W wysuwaniu hipotez pomocne są tu w pewnej mierze dane historyczne i istniejąca tradycja. Skulsk jest średniowieczną osadą, która uzyskała prawa miejskie w 1386 roku z rąk Władysława Jagiełły. W czasach późniejszych, aż po dzień dzisiejszy, słynie z cudownego wizerunku Matki Boskiej Bolesnej. Już Władysław Warneńczyk przed udaniem się na wyprawę przeciw Turkom, tak tragicznie zakończoną, odbył pielgrzymkę pieszą do owego cudownego wizerunku (w obecnym kościele z pocz. XIX w., efektownie usytuowanym na miejscu dawnego na tzw. Kępie, znajduje się piękna Pieta gotycka).

Skulsk był raczej miasteczkiem biednym, otoczony bagnami, nie miał dobrego zaplecza rolniczego, ani też nie leżał na specjalnie uczęszczanym szlaku handlowym. Pomimo to, dzięki zapobiegliwości mieszkańców, rozwijał się zupełnie dobrze aż do 1655 roku, kiedy padł ofiarą rabunku i zniszczenia dokonanego przez Szwedów. Być może, że mieszkańcy Skulska oprócz rzemiosł, którymi zazwyczaj trudnili się mieszczenie, korzystali również z zysków handlowych jakie mógł przynosić ożywiony ruch pątniczy, zwłaszcza podczas trzech odpustów rocznych obchodzonych tłumnie na św. Józefa, św. Stanisława biskupa i na Narodzenie N.M.P., przy czym ostatni przypadający na 8 września był najliczniejszy.

Podobnie jak w innych ośrodkach pątniczych tak zapewne i w Skulsku rozwinęło się ludowe malarstwo obrazów religijnych. Niestety nie wiadomo, od kiedy skulszczanie zaczęli się trudnić tym procederem, wiadomo jedynie, że przestali malować, jak podaje Stanisław Górka, około 1850 roku. W pierwszej połowie XIX wieku, jak podkreśla Pęcherski, księgi parafialne często wspominają o nich jako o „malarzach papierowych”. Według tradycji miejscowej ostatni malarz, nazwiskiem Składnikowski, czynny był mniej więcej do roku 1888.

Jak informuje 92-letnia staruszka, żona i córka obraznika, tematycznie obrazy skulskie najczęściej związane były z postacią Matki Boskiej, co być może łączyło się z kultem miejscowym, a poza tym częste były wizerunki Chrystusa oraz patronów „od różnych nieszczęść”. Dokładniejszych danych odnoszących się do ikonografii czy kolorystycznych rozwiązań tych obrazów nie udało się niestety ustalić, gdyż żaden z tych obrazów w Skulsku ani okolicy nie przechował się, a ostateczne ich wyniszczenie nastąpiło w początkach naszego stulecia kiedy, jak podają starsi ludzie, proboszcz miejscowy chodząc po kołędzie domagał się ich usuwania z izb mieszkalnych, nazywając je „karykaturą i szysterstwem ze świętych”.

Owi liczni do pierwszej połowy XIX wieku malarze posługujący się dla przyspieszenia swej pracy pewnego rodzaju „metodą taśmową”, najczęściej roznosili po kraju swe obrazy sami lub rozsyłali je przez pośredników. Skutkiem tego powstała w Skulsku liczna kasta obrazników wędrownych, którzy po upadku malarstwa ręcznego rozpowszechniali utartymi szlakami już tylko oleodruki i inne obrazy produkcji fabrycznej.

Już ojcowie i dziadkowie najstarszych nawet spośród obecnych mieszkańców Skulska nie sprzedawali obrazów malowanych ręcznie, lecz zaopatrywali się w towar pochodzenia fabrycznego w dużych ośrodkach miejskich jak Warszawa czy Częstochowa. W Warszawie kupowano je np. u Żyda Winera i Jabłońskiego, a w Częstochowie u Bajdeckiego, Jankowskiego czy Bigosińskiego. W mniejszych ilościach, chociaż towar był tańszy i lepszy, kupowano obrazy po drugiej stronie kordonu w Strzelnie, Pleszewie i Poznaniu, skąd przemycano je przez granicę pruską w Pilchu za pośrednictwem „szwarcowników”.

Obraznicy kupowali prawdopodobnie najczęściej oleodruki oraz również tańsze odbitki wykonywane różnymi technikami graficznymi, o czym świadcząby znalezione w Skulsku staloryt zatytułowany „Droga Krzyżowa”. Ciekawe, że rycina ta odbiega od konwencjonalnych obrazów religijnych i ma charakter wyraźnie patriotyczny, przedstawiając rugowanych z gruntów swoich chłopów w okresie prześladowań Polaków przez Bismarcka w Pozańskiem. Powstanie tego miedziorytu należałoby odnieść do połowy XIX wieku, kiedy podobne przedstawienia występowały w grafice, np. litografia Mariana Jaroszyńskiego (prowadzi od 1848 r. zakład litograficzny w Poznaniu), podpisana „Gospodarstwo niemieckie. Drang nach Osten. 1849” (Gabinet rycin Bibl. UJ w Krakowie). Według wypowiedzi wdowy po „ochwieśniku, 78-letniej Ciszewskiej podobne ryciny o treści patriotycznej rozprowadzane były również przez skulskich obrazników, co wykonywali oni oczywiście ubocznie i w Pozańskiem potajemnie. Głównie trudnili się sprzedażą obrazów o treści czysto religijnej, czasem okolicznościowej, jak np. z okazji koronacji Matki

OJCIEC

OCHWEŚNIKÓW

MARIA PRZEŹDZIECKA



(u góry) Obraz feretronowy we wsi Paprotna, pow. Siedlce. Fot. R. Reinluss. Podobne do tych mogły być obrazy produkowane przez „ochwieśników”.



(obok) Obraz feretronowy ze wsi Paprotna, pow. Siedlce, przedstawiający św. Stanisława. Fot. Roman Reinluss.

Boskiej Częstochowskiej (takich obrazów zakupił Jan Ciszewski u warszawskiego hurtownika Jabłońskiego dużą ilość). Poza tym, jak wynika z tradycji ustnej, sprzedawali obraźnicy skulscy też różne lekarstwa („krople”), drobne przedmioty spełniające na wsi rolę biżuterii oraz niektóre narzędzia, jak dłułka i inne.

Skulscy „ochwieśnicy” wytworzyli sobie całą organizację wędrowną sprzedaży. Rozporządzający pewnym kapitałem obrotowym tzw. „dowódca” zakupywał i ładował na wóz większy transport obrazów po uprzednim zwerbowaniu sobie odpowiedniej ilości pomocników występujących na prawach wspólników, bądź też zupełnie niezasobnych i pracujących „na procent”. Liczebność takich pomocników bywała różna w zależności od możliwości finansowych „dowódcy”, np. dziadek 68-letniego Józefa Chwalisza miał ich dwóch, a bardziej obrotowy ojciec Józefa Wyderskiego (56 lat) aż dziesięciu ludziom dostarczał zatrudnienia w charakterze wędrownych obraźników. Pomocnicy ci nosili na plecach mniejsze partie towaru w specjalnych skrzynkach mieszczących nieraz do 300 sztuk różnych obrazów i dążyli bocznymi drogami mniej więcej równoległe do trasy, którą wiozł „dowódca” zasadniczy transport. Obraźnicy chodzili grupami, najczęściej po dwie osoby, co przy równoczesnym posługiwaniu się przez nich niezrozumiałym całkowicie żargonem, znakomicie ułatwiała stosowanie różnych sztuczek i wspomnianych przez Pęcherskiego sposobów zmierzających do sprzedania możliwie największej ilości obrazów. Prowadzili oni handel nie zawsze zupełnie uczciwy i często wyzyskiwali u swych klientów niezajomość atrybutów poszczególnych świętych. Zbyt wymagające klientki zbywali nierzadko, w wypadku nie posiadania żadanego obrazu takim np. żartem „weźmie się sukienkę św. Barbary przypawi się wąż będzie św. Alfons”.

Uzupełnianie podręcznych zapasów roznoszonych przez pomocników oraz rozliczanie się ze sprzedanej ilości odbywało się w punktach z góry przez „dowódcę” wyznaczonych.

Tak zorganizowany sposób poruszania się w terenie umożliwiał „ochwieśnikom” odbywanie dalekich wędrówek po całej Kongresówce, oraz wyprawy do „Unijatów”, gdzie w wyniku prześladowań religijnych i braku odpowiedniej podaży handel szedł bardzo dobrze, lecz wymagał dużej ostrożności. Niektórzy obraźnicy zapuszczali się jeszcze dalej w głąb Rosji na tereny Litwy, Łotwy, a nawet do gubernii mohylewskiej (np. ochwieśnik Antoni Drianski), dokąd wozili też prawosławne obrazy. Na tereny polskie i Pomorza jeździli stosunkowo mniej, całkowicie zaś omijali Galicję, gdzie prawdopodobnie wskutek miejscowej konkurencji warunki dla handlu obrazami były mniej dogodne. Bezpośrednie okolice Skulska również nie zapewniały najlepszego zbytu, a „ochwieśnicy” je zaopatrujący nosili tu dla zachęty obrazy już w ramach.

Obraźnictwo jako zawód szeroko w Skulsku rozpowszechniony wygasło po pierwszej wojnie światowej i wyjątkowo tylko uprawiane było do 1939 roku przez poszczególne osoby, jak np. Józefa Wyderskiego (obecnie ma 56 lat). Lecz jeszcze pod koniec ubiegłego wieku było w Skulsku około 20 samych „ochwieśników — dowódców”.

LITERATURA

Stanisław Górka: *Skulscy ochwieśnicy*, *Wiśła* t. XV, str. 1—7.

Kozłowska J.: *Skulak, Slesin, Kazimierz, Bieniszew, Konin*, Biblioteka Krajoznawcza, t. IX.

Wanda Budziszewska: *Żargon ochwieśnicki* *Rozprawy Komisji Językowej Ł.T.N. Łódź* 1955.

Zygmunt Pęcherski: *Kmina ochwieśnicka* *Ziemia* nr 2/1956 str. 14—15. Materiały zebrane w 1956 r. przez pracowników Państwowego Instytutu Sztuki (Archiwum PIS w Krakowie).



Znaleziony w Skulsku staloryt przedstawiający symbolicznie „drogę krzyżową” Polaków prześladowanych w zaborze pruskim.

Chociaż już mniej więcej sto lat temu „ochwieśnicy” skulscy przetrucili się na handel obrazami fabrycznego pochodzenia, to niewątpliwie jednak na trasach dawnych wędrówek nadal tkwią w ukryciu nie rozpoznane dotychczas okazy ręcznego malarstwa uprawianego jeszcze w pełnym rozkwicie sto kilkadziesiąt lat temu w Skulsku. Szukać ich raczej należy na terenach bardziej zacofanych cywilizacyjnie, gdzie skromne środki finansowe oraz mniejsza stosunkowo podaż „modniejszych” obrazów tworzyła dogodniejsze warunki ich zachowania. Szczególnie chodziłoby tu o tereny Lubelszczyzny czy Podlasia, przez które przebiegały główne szlaki najdalszych wypraw. Poszukiwania te utrudnia na razie brak jakiegokolwiek obrazu autoryzowanego lub dającego się przynajmniej na podstawie jakichś poszlak łączyć z ośrodkiem skulskim. Bardzo możliwe jednak, że uda się w przyszłości związać z tym ośrodkiem jakąś grupę obrazów. Wyodrębnienie grupy skulskiej spośród znanych obrazów malarstwa ludowego byłoby zagadnieniem bardzo ciekawym i ważnym, a w samym Skulsku jako pozbawionym już całkowicie okazów malarstwa tam uprawianego, na rozwiązanie tej zagadki liczyć raczej nie można.

MARIA PRZEŹDZIECKA

Wesele w Kierznie



Kościółek w Kierznie. Rys. Marian Kornecki

Było to 23 maja 1955 r. Zbliżaliśmy się właśnie do drewnianego kościoła w Kierznie,¹ gdy doszedł nas charakterystyczny zgiełk i dźwięki orkiestry wiejskiej. Było jasne, że nadchodzi orszak weselny; niebawem zza zakrętu drogi, spośród zieleni ukazało się czoło pochodu oraz znaczna ilość zgromadzonych ludzi. Nie byłoby zresztą nic nadzwyczajnego w tym spotkaniu z opuszczającym kościół orszakiem, gdyby nie niecodzienny widok, jaki ukazał się naszym oczom: oto na czele pochodu biegła w tanecznym pląsie młoda dziewczyna, w masce na twarzy, przebrana w barwny strój zszyty z różnokolorowych materiałów, przypominający ubiór cyrkowego arleki. W rękę dzierżyła jakieś fantastyczne berło czy po prostu kolorową parasolkę. Tuż za nią postępowały trzy, a może cztery młode kobiety lub dziewczęta, podobnie jak ona, w barwnych niezwykłych ubiorach. Jedną z nich wiozła taczki, na których złożone były — zdaje się wieńce i kwiaty. Następnie równym krokiem maszerowali muzykanci, charakterystyczna orkiestra wiejska, a wśród niesionych instrumentów poczesne miejsce zajmował okazały bęben, którego basowy ton wybijał rytm pochodu. Wokół — zgraja dzieciaków. Dopiero teraz szła para nowożeńców: panna młoda w długiej białej sukni, on z męjską ubraną; za nimi — parami drużbowie. Z hoku kroczył fotograf wiejski, dźwigający ogromne pudło staroświeckiego aparatu oraz statywy.

My, przypadkowi widzowie, też mieliśmy aparaty fotograficzne, gotowe w zasadzie do użytku. Lecz nie-

spodziewane, barwne widowisko tak nas zaskoczyło, że nie wykonałmy żadnego zdjęcia. A może potężna postać wiejskiego fotografa stropiła jego niedoszłych nieproszonego konkurentów. Zresztą przejście interesującego czoła orszaku ślubnego było tak szybkie, że właściwie nie zdążyliśmy się wszystkiemu przypatrzeć i opis zawiera być może błędy.

Proboszcz z sąsiednich Myjomic, który udzielił ślubu w swym filialnym kościele, zapytany o zwyczaje weselne w Kierznie, nie umiał nic bliższego wyjaśnić, zwłaszcza, że od niedawna zamieszkuje w tych stronach. Stwierdził jednak, że panują tu rzeczywiście różne zwyczaje i tradycje.

Wesele w Kierznie zainteresowało nas bardzo. Chcielibyśmy wiedzieć, co oznaczają stroje i inne rekwizyty i jak właściwie wyglądają. Czy zwyczaje podobne istnieją w innych miejscowościach. A może nauczycielstwo w Kierznie wyjaśniłoby miejscowe zwyczaje weselne? Może też znalazłaby się fotografia orszaku weselnego z dnia 23 maja ubiegłego roku (był przecież fotograf), lub może dałoby się wykonać jakie zdjęcie przebranych uczestników orszaku, przecież stroje przechowuje się zapewne. Sądzę, że fotografując taką wraz z objaśnieniem zamieściłaby „Ziemia” w jednym z najbliższych numerów.

Marian Kornecki

¹ pow. kępiński, woj. poznańskie.

KARPACKIE HIEROGLIFY

ANDRZEJ RADOMSKI

Podczas którejkolwiek z wycieczek w Beskidy poświęćmy pół godziny czasu na obejrzenie pierwszego napotkanego po drodze kamieniołomu lub poszukajmy na brzegu jakiegoś potoczku czy rzeczki naturalnej „odkrywki”, gdzie woda splukala warstwę gleby i zwierzeliny, odsłaniając znajdujące się pod nią skały. Gdziekolwiek by to było w Karpatach — widok w ogólnych zarysach będzie bardzo podobny. Zobaczymy warstwy stosunkowo miękkich, tabliczkowych łupków na przemian z twardymi lawicami piaskowców.

W tych niepozornych, szarych, leżących jedna nad drugą lawicach zapisana jest niejedna ciekawa opowieść z przeszłości naszej ziemi. Trzeba ją tylko umieć odczytać. Spróbujmy.

W różnych okolicach spotykamy rozmaite odmiany tych skał. Różnią się one składem mineralnym, barwą, grubością lawic. Różny też może być stosunek ilościowy piaskowców do łupków. Raz więcej jest łupków, gdzie indziej przewagę mają piaskowce, a łupki ograniczone są do cienkich wkładek oddzielających grubo, nieraz parometryczne lawice piaskowców.

Tego rodzaju typ osadów, nacechowany ustawiczną zmianą lawic drobno-pylastych łupków czy ilów z lawicami piaskowców o znacznie grubszym ziarnie, nazywamy fliszem.

Przypatrzmy się uważnie spodniej stronie lawic piaskowcowych. Zobaczymy na nich szereg mniejszych lub więk-

szych wałków i nierówności, to przebiegających kręto i meandrycznie, krzyżujących się z sobą bez żadnego uporządkowania, to biegnących prosto, przeważnie równolegle, jakby nakreślonych za pomocą linii. Przez długi czas, podobnie jak pismo starożytnych Egipcjan, stanowiły one dla nauki zagadkę — stąd też bierze się i ich nazwa: hieroglify.

W obserwowanych skalach trudno będzie nam natrafić na szczątki zwierzęce. We fliszu znajduje się je rzadko. Są to skorupy wymarłych już ammonitów czy belemnitów, zwierząt z grupy głowonogów, żyjących pospolicie w morzach okresu kredowego a także skorupki małży i ślimaków. W młodszych osadach spotyka się szkielety morskich ryb. Jeżeli przyjrzymy się próbkom łupków przez mikroskop, w każdej z nich niemal wykryjemy skorupki otwornic, jednokomórkowych organizmów morskich. A więc wniosek może być tylko jeden: warstwy fliszowe gromadziły się w morzu, które rozpościerało się w miejscu dzisiejszych Karpat.

Na podstawie znalezionych skamieniałości możemy określić również wiek fliszu. Zaczął się on tworzyć z początkiem okresu kredowego (ok. 120 mln lat temu), a skończył w oligocenie (ok. 20 mln lat temu). Morza fliszowego i jego osadów nie można jednak porównywać z żadnym z dzisiejszych basenów morskich. Różniło się ono od dzisiejszych mórz jedną właściwością. Miano-

wicie dno morza fliszowego ulegało ustawicznemu ruchowi obniżającemu. Dzięki temu nie doszło do zasypania go przez materiał znoszony obficie z otaczających lądów z jednej strony, z drugiej — pozwoliło na nagromadzenie się grubych osadów fliszowych (w Karpatach 6—8 tys. m.).

Baseny morskie, których dno obniża się w miarę gromadzenia się osadów, noszą nazwę geosynklin i w historii Ziemi poprzedzają zawsze okres górotwórczy, podczas którego następuje na miejscu dawnej geosynkliny spiętrzenie się gór. Krótko możemy powiedzieć, że flisz jest osadem morskim gromadzącym się w geosynklinach.

To nam oczywiście problemu hieroglify nie tłumaczy. Jednym z ciekawych zagadnień fliszu jest sposób, w jaki piasek i il, pochodzący z niszczenia skał na otaczających ówczesne morze lądach, rozprzestrzenił się po całym basenie, wytłumaczenie jego rytmiczności i naglej zmiany wielkości ziarna w sąsiadujących ze sobą lawicach łupków i piaskowców.

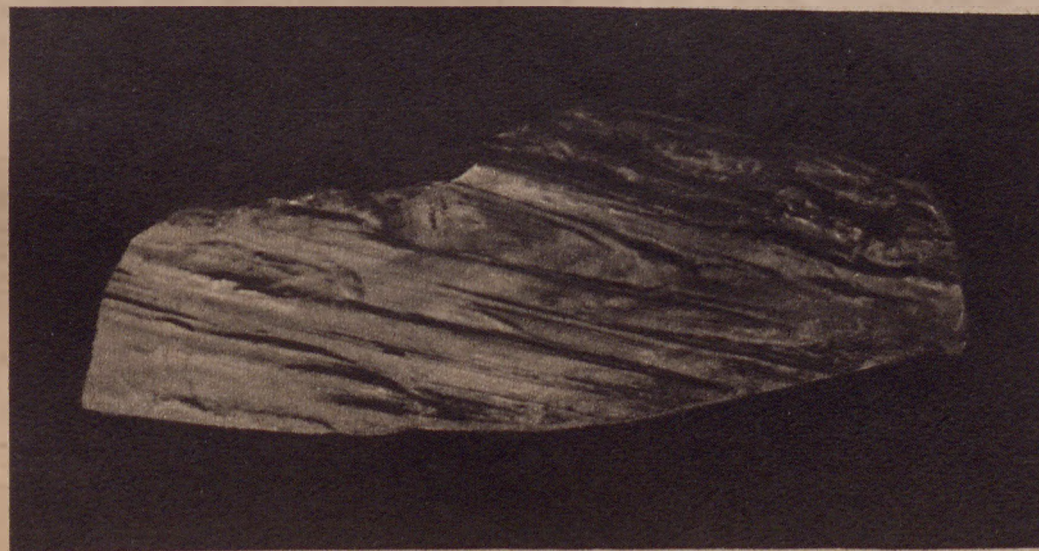
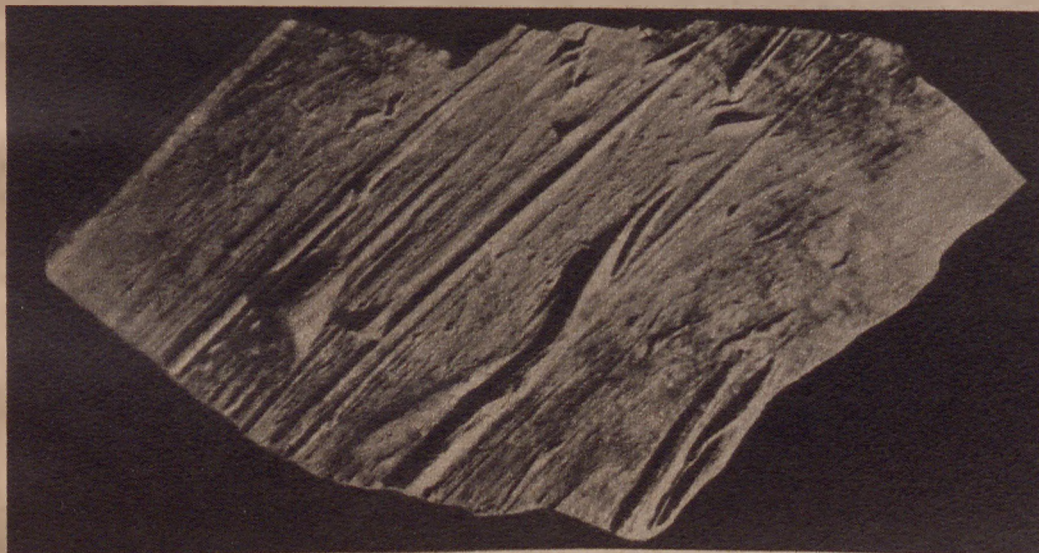
Charakterystyczną cechą grubszej lawicy piaskowcowej jest ziarno na samym dole dość grube, ku górze stopniowo malejące, aż wreszcie lawica piaskowca przechodzi niepostrzeżenie w leżący ponad nią łupek. Ten typ warstwowania, bardzo pospolity we fliszu, nosi nazwę warstwowania frakcjonalnego. Przyjrząwszy się dobrze dolnej części lawicy, zauważymy obok ziarn

kwarcu o dość znacznych rozmiarach sporą ilość miążkiego piasku, który tworzy spoiwo zlepiające grubsze otoczaki.

W wyższej partii lawicy, gdzie przeważa materiał drobny, może się zdarzyć, że znajdziemy ni stąd ni zowąd okruchy łupków parocentymetrowej średnicy z bardzo ostrymi krawędziami. Są to szczegóły zastanawiające. Materiał, który niesie prąd wody, jest na ogół dobrze sortowany, to znaczy przy danej szybkości prąd osadza materiał o pewnej określonej średnicy ziarna. Ziarn grubszych nie ma, bo prąd jest zbyt słaby, by je ruszyć z miejsca. Ziarna drobniejsze natomiast woda wymywa. W lawicach o warstwowaniu frakcjonalnym takiego wysortowania nie ma. Prąd, który miał dość siły, aby nieść kawałki łupków, musiałby wymieść doszczętnie miążki piasek, w jakim one tkwią. Jak widzimy, czynnikiem, który przynosił osad w głąb basenu morza fliszowego, przynajmniej w odniesieniu do niektórych lawic, nie mogły być „normalne” prądy morskie powierzchniowe czy dennie. Wiele cech osadu fliszowego da się wytłumaczyć, jeżeli założymy, że był on osadzony przez pewien specjalny typ prądów, tzw. „prądy zawieszinowe”.

Miniaturowy prąd zawieszinowy możemy łatwo wywołać w jakiegokolwiek kałuży, ruszywszy patykiem mul nagromadzony na jej brzegach. Wzbije się wtedy kłębiasta chmurka zawiesziny najdrobniejszych cząsteczek ilastych i dzięki większemu ciężarowi gatunkowemu od otaczającej ją czystej wody, spłynie w dół po linii największego spadku. Osiągnąwszy dno, nie zatrzyma się od razu, ale przebędzie jeszcze siłą bezwładności pewną przestrzeń. Szybkość ruchu stopniowo maleje i w końcu zawieszina opada z powrotem na dno. Podobne zjawiska odbywały się i w morzu fliszowym, a także, jak to niedawno stwierdzono, odbywają się i dziś na skłonie szelfowym Atlantyku. Skała ich wielkości wyraża się w setkach czy nawet tysiącach metrów sześciennych wody i osadów. W morzu początek prądowi zawieszinowemu daje osuwisko podmorskie. Osuwiska powstają na skutek zaburzenia równowagi w nagromadzonym na skłonie basenu materiale w czasie gwałtowniejszej burzy, trzęsienia ziemi itp. Oderwane masy ilasto-piaszczyste staczając się w głąb basenu mierzają się z otaczającą je wodą, nabierają azybkości i przeistaczają się w olbrzymią sphywającą „chmurę” zawiesziny. Zawieszina niesie z sobą również grubszy materiał: żwiry, kawałki skał, złożone pierwotnie niedaleko brzegu, większe i mniejsze kawałki stwardniałych już ilów wydartych z podłoża itp.

Znaczniejszy ciężar gatunkowy zawiesziny (1,2 do 2) sprawia, że prąd taki posiada większą „siłę transportową”. Oznacza to, że przy tej samej szybkości potrafi unieść znacznie większe fragmenty niż „normalny” prąd rzeczny lub



Obydwa zdjęcia przedstawiają wycinki dolnej powierzchni lawic piaskowcowych z hieroglify. Twarde fragmenty łupków wlezione po ilastym dnie przez prąd zawieszinowy, pozostawiają na nim bruzdy rozmaitego kształtu. Fot. Jerzy Małecki.



GINĄCE KAMIENIE

... „JAKŻE STRASZNY JEST TEN DOM — DOM BOGA” — głosi hebrajski napis na ozdobnym szczycie obronnej synagogi w Lesku¹.



W którymś z wojennych lat zabrano do hitlerowskiego lagru ostatniego kantora synagogi, wydarło z ram ołtarza rzeźbione drzwiczki, wdeptano w gruz i błoto nawinięte na walek pergaminowe teksty Pięcioksięgu, ukryte za zasłoną. Synagoga przeraża dziś już nie starotestamentową grozą nieubłaganego Jehowy — lecz pustką zrujnowanego wnętrza, ślepotą wybitych okien, stęchłą wilgocią i atmosferą domu, który opustoszał nieodwołalnie i na zawsze. „Jakże straszny ten dom” — z cieniami odległych krematoryjnych pieców.

Niedaleko od synagogi leskiej, na łysym uroczysku, chronionym

paroma starymi dębami — zachował się cmentarz żydowski. Egzotyka zupełna — tak zaskakująca, że ...Gdzie właściwie jesteśmy? Na rozkopanym i oczyszczonym łopatą archeologa cmentarzysty jakiejś wymarłej pozaeuropejskiej kultury?

I tak, i nie. Nie, bo przecież to tylko wyrzucony poza obręb małopolskiej miejsciny cmentarz polskich ydów. Tak — bo oto stoi głaz przy głazie; ciasno stłoczone, pochylone, wrosłe w ziemię, niektóre szerniałe od mchu i pyłu, inne, wybielone deszczem i słońcem. W bogatych obramieniach renesansowych i barokowych — to prawda — ale jakże przetworzonych, zmienionych i

obcych duchem ornamentów cisną się litery. Haczykowate, kręte, dziwaczne i niezrozumiałe litery hebrajskiego alfabetu. Ponad tablicami z tekstem — rzeźbione symbole: korony i rozwarte księgi nadawane uczonym, błogosławiące rytualnym gestem dłonie kapłanów, konewki i misy lewitów. I cała zawikłana, dziś już niema i zamarła, symbolika zwierząt: orły, jelenie, lwy, lamparty.

Skądże ów egzotyczny zwierzynek na cmentarzu polskich Żydów? Cóż; istniały w ich przekonaniu cztery główne przymioty mocy Boga-Jehowy, „tego, którego Imię jest niewypowiedziane”. Miał on być „lekki jak orzeł, szybki jak jeleń, gwałtowny

jak lampart i potężny jak lew”. Od owych kwieściście wschodnich sformułowań bije echo czasów dawniejszych, niż historia europejskiej cywilizacji. Błysk trwałej pamięci o zaginionej ojczyźnie, wiew nie-polskiej atmosfery. Tak mogli mówić tylko pasterze-nomadzi.

Naprawdę można zastanawiać się nad przyczynami, które sprawiły, że w obojętnym najczęściej, lub niechętnym otoczeniu trwał tak długo ów świat dziwny, hermetycznie zamknięty i tak bardzo odmienny. Świat chałcziarzy z

¹ Drowi M. G. z Warszawy składa autor podziękowania za łaskawy przekład hebrajskich tekstów.



getta i bankierów z królewskiego dworu; złota i najokropniejszej nędzy; arcytrzeźwych kupców i zupełnie od życia oderwanych mistyków, ustawicznie poszukujących w księgach i gwiazdach dnia nadejścia Mesjasza. Wierzących opętanych w zjednoczenie Izraela. Świat zewnętrznie zwarty, solidarny i aż do połowy w XIX mało dostępny asymilacji — a równocześnie tak krańcowo i dziwnie rozwarstwiony wewnątrz, tak pełny przeciwności i konfliktów.

W kościołach chrześcijańskich bywała regułą ława kolatorska przy głównym ołtarzu, co cytuje się niekiedy jako dowód żywotności tradycji feudalnej, ale w takim razie co można powiedzieć o społeczeństwie, które — tak zwarte zewnętrznie — było równocześnie tak rozwarstwione, że swoich ubogich przerzucało do osobnych synagog, jeśli tylko było to możliwe? Ów dziwny naród uznawał jednak wyjątek z tej reguły; *uczony* nędzarz zasiadał na poczesnym miejscu w głównej synagodze...

Dziwny, naprawdę dziwny świat ludzi obdarzonych w wielu wypadkach giętkim umysłem i przenikliwą inteligencją, którzy którzy jednak nie mogli jakoś zrozumieć absurdu trwania przez wieki — poza granice wyznaczone rozsądkiem — w niezmiennym, niestępliwie zamkniętym kręgu obyczaju i narodowości.

Może dziś śmieszne, że handlarz leski z w. XVII nadał synowi ogromne imię „Arie” — w żargonie „Leib”, w przekładzie „Lew” — będące symbolicznym synonimem jednego z przymiotów Jehowy. Syn handlarza bankierem królewskim nie został, a więc ani go nie nienawidzono, ani się przed nim nie płaszczono. Ow Lejbuś zapewne nieraz stał przed panem leskiego zamku; może nawet wziął w pacht od Stadnickich karczmę na przedmieściu? „Rozpijał chłopów” za pieniądze dla pana i procent dla siebie. Życie trzeba — więc kłaniał się nisko, kisił ogórki, sprwadzał gdańską wódkę, pędził samogon, prowadził mniej lub więcej dochodowe interesy. Był mały, nie uczony, wiecznie zestrachany i może nawet pocieszony w swym długim, jedwabnym chałacie i ogromnej lisiej czapie. Ale gdy umarł, nie doczekał skutku swych modłów za Jerozolimą utraconą — na grobowym kamieniu zwróconym na wschód pojawiły się najprawdziwsze lwy Arie-Leiba, podtrzymujące tarczę z inicjałami. A to już nie może być śmieszne, ta żarliwa inwokacja symboliki imienia zwykłego leskiego pachciarza, wierzącego w swój nierozzerwalny związek z ojczyzną pradziadów.

I jeśli się stanie na leskim cmentarzu w owej osobliwej atmosferze niemego, zastygłego krzyku wrytych na kamieniu rozwartych dłoni żydowskiego kapłana — przestanie śmieszny nawet i inny, groteskowo pompatyczny tekst: „...Chwała wieku,



puchar manny, kosz książek, nasz Nauczyciel, o którego walczą aniołowie niebiescy i ziemscy"... To nic, że w rzeczywistości chodzi o zwykłego małomiasteczkowego rabina, rozsądzającego ongiś drobne i może nieważne spo-

jącego w paszczy swój własny ogon. Znów trzeba odwrócić głowę i zobaczyć miasto, aby się przekonać, że to naprawdę tylko zapadły kąt Rzeszowszczyzny.

Ale nadal będzie pusto. Może

mienie przez pamięć o swych bliższych i z tą samą myślą kazali rzeźbiarzowi ornamenty i symbole — to rzecz oczywista zwykle ludzkie przemijanie. Tu jednak giną kamienie. Nie przez kradzież. Przez to, że nawet ów

finałem tak barbarzyńskim, że raz na zawsze powinny zaniknąć echa jakiegokolwiek niechęci. Pozostały tylko rozwalone synagogi i nieme cmentarze. Nieme — i jakże pasjonujące swą egzotyką.

Ale impresja — to za mało. Liczą się fakty. A fakty są takie: Polska — mimo olbrzymich zniszczeń spowodowanych wojną, mimo nieludzko systematycznej okupacyjnej akcji niszczeniaabytków żydowskich — jest w tej chwili jedynym na świecie krajem, w którym dałoby się dziś jeszcze prześledzić i zilustrować rozwój architektury bożniczej od gotyku nieprzerwanie po koniec w. XIX. A jest to architektura ciekawa. Polska jest także jednym z bardzo niewielu krajów, w którym na podstawie materiału właśnie z mięscin tak niepozornych jak Lesko dałoby się uchwycić dziś jeszcze rozwój i artystyczną odrębność plastyki żydowskiej, egzotykę jej tematyki i oryginalną treść symboliki.

Ta szansa warta jest uwagi. Jutro już zniknie bezpowrotnie. Bożnice albo rozpadają się w gruzy, albo adaptowane są na cele najprozaiczniej użytkowe. Procesu tego nie da się ani cofnąć, ani zahamować, ponieważ ich pierwotna funkcja nie jest już dziś aktualna. A bezpańskie kamienie cmentarne giną jeszcze szybciej i bardziej radykalnie.

Ważniejszy od kamienia jest człowiek. Ale i kamienie nie powinny ginać.

Historii nie da się zmienić. Można ją tylko sfalszować, ale wówczas przestaje być historią. Nie da się także wymazać żadnego z jej rozdziałów. Można tylko przemilczeć, ale wówczas szkodzi się tylko jej obiektywnej wartości. I choćby dlatego tylko te kamienie są także i nasze. A jeśli tak — czas znaleźć dla nich miejsce na kartach kroniki dnia dzisiejszego.

TADEUSZ ŻYCHIEWICZ

ry, o których dziś pojęcia nie mamy. To nic. Bo ponad groteską nawisł wewnętrzny dramat wydziedziczonego, egzotycznego, najdziwniejszego może na świecie narodu.

Cmentarz jest pusty i bardzo cichy. Gdy rozejdą się chmury, słońce wydobędzie z kamienia ostre kontrasty wgłębień i wypukłości, ożywi pyszne skrzydlate gryfy i bajeczne Lewiatany, lwy, lamparty, orły, liście akantu i odwieczny symbol wieczności: zwiniętego w koło węża, trzyma-

tylko chłopaki przyjdą palić ogień w dziuplach starych dębów — z pustej zabawy. Może ktoś znów zajedzie furmanką po następną partię kamienia na podwalinę pod chałupę, albo wymoszczenie ścieżki do obory. Bo tak właśnie przygotowuje się tematy i chleb dla archeologów przyszłych wieków...

Ten cmentarz jest podwójnie martwy. Jest straszny w swej egzotycznej niemocie i opuszczeniu. Bo, że umarli ci, którzy przed wiekami stawali owe ka-

zastygły, kamienny krzyk hebrajskich symboli, tekstów i inwokacji stał się niemy, niezrozumiały już dla nikogo, zatopiony w obcości i tragicznie niepotrzebny.

Szkoda. Można mieć takie czy inne zdanie np. na temat oceny roli, jaką w dawnym życiu polskich miast odegrały zwarte, ekonomicznie prężne i coraz to rozszerzające się gminy żydowskie, twardo zamknięte w skorupie swej religijnej i obyczajowej odrębności. Ta sprawa już przebrzmiała i zakończona została



Zawieprzyce

MIECZYSLAW KURZATKOWSKI

Zamek zawieprzycki stoi na wyniosłym brzegu doliny Wieprza, w miejscu gdzie wpada doń Bystrzyca. Z tarasowo opadającego ku rzece wzgórza rozciąga się rozległy widok, który wiele razy opisywał z zachwytem Aleksander Bronikowski, autor modnych w pierwszej połowie XIX wieku romansów historycznych. Jeden z nich nosi tytuł „Zamek zawieprzycki”. Zawarta w nim „legenda zawieprzycka” zaciążyła nad historią zamku. Autor tak sugestywnie opisuje dzieje domniemanego założyciela zamku, okrutnego Jana Nepomucena Granowskiego, kasztelana lubelskiego i jego spadkobiercy Teofila, że do dziś dnia uważane są one za prawdziwe. Ów Jan Granowski — jak podaje Bronikowski — towarzyszył broni Jana Sobieskiego w wyprawie wiedeńskiej, przywozi z niej parę tysięcy jeńców tureckich. Wśród nich znalazła się przypadkiem córka greckiego księcia Isakiosa z dynastii Paleologów wraz z pięknym narzeczonym. Jeńcy zostali zatrudnieni przy wznoszeniu zamku, zaś uroczą Greczynka stała się obiektem zainteresowań Granowskiego. Zarówno jeńców, jak i grecką parę spotkał żaloszny koniec: Turcy zostali zamęczeni przy robotach budowlanych, księżniczkę zaś okrutny kasztelan, zniecierpliwiony brakiem wzajemności, kazał przygnieść kamieniem we wspólnym grobie z narzeczonym. Samego Granowskiego czekał też nielepszy koniec. Zginął on wchodząc nieostrożnie w otwór... windy, którą posiadał w swym zamku.

Nawet tak poważny badacz „starożytności polskich”, z połowy XIX wieku, jak Kazimierz Stronczyński część opisów podawanych przez Bronikowskiego uznał za autentyczne.

W rzeczywistości Zawieprzyce, znajdujące się kolejno w rękach Zawieprzskich, Ciecierskich, Firlejów i Gorajskich, w roku 1671 przechodzą na okres przeszło stu lat w posiadanie Miączyńskich. Najwybitniejszy z rodu tego — Atanazy, wojewoda wołyński — oraz jego długie, pełne przygód wojennych życie, stało się prawdopodobnie dla Bronikowskiego wzorem do nakreślenia postaci Jana Nepomucena Granowskiego. Atanazemu Miączyńskiemu zawdzięczają też Zawieprzyce i pobliskie Kijany wzniesienie lub rozwinięcie szeregu budowli.

Między innymi w latach 1674—1679 znany architekt z doby Jana Sobieskiego, Tylmań z Gameren, przebudowuje istniejące już dawniej w Zawieprzycach zabudowania zamkowe na rezydencję Atanazego Miączyńskiego. W pierwszej połowie XIX wieku zamek ulega dwukrotnie pożarowi i od tego czasu coraz bardziej popada w ruinę. Jak świadczą stare widoki, była tu budowla dwupiętrowa z piękną otwartą galerią arkadową od strony Wieprza. Dziś pozostały z niej szczątki alkierzy narożnych oraz mało czytelne zarysy murów. Najlepiej zachował się mur oporowy u stóp ruin, załamujący się na



Ruiny zamku w Zawieprzycach widziane od strony rzeki. Tu dziewiętnastowieczny powieściopisarz Aleksander Bronikowski umiejscowił akcję jednego ze swych romansów.
Fot. Janusz Bogdanowski.

kształt bastionów zbyt płytkich jednak na to, by kiedykolwiek pełnić mogły funkcje obronne.

W sąsiedztwie ruin znajduje się kaplica zamkowa z XVII wieku. Ściany jej wnętrza zdobią barwne sploty roślinne, na kopule zaś widzimy przerażającą scenę sądu ostatecznego, gdzie wśród zionących ogniem paszcz piekielnych potworów, w karecie powożonej przez diabłów, widnieje postać legendarnego Jana Granowskiego.

Poza ruinami i kaplicą z zespołu zamkowego pozostały do dziś: stary spichlerz, oranżeria, ślady geometrycznego założenia ogrodowego oraz brama wiodąca na dziedziniec. Brama ta, zbudowana z cegły i bardzo zniszczona, odznacza się bogatą dekoracją architektoniczną.

Dawny spichlerz, będący zgrabnym, oszkarpowanym budynkiem piętrowym, wzniesionym na planie zbliżonym do kwadratu, ze sklepieniami we wnętrzu pomieszczeniami służy dziś nowym celom. W roku 1954 został z kredytów konserwatorskich wyremontowany na siedzibę Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej. O ile obiekt ten jest przykładem właściwego stosunku władz terenowych do zabytków, o tyle stojąca niedaleko klasycystyczna oranżeria mówi o czymś wręcz odwrotnym. Ten interesujący budynek, którego część środkową zdobi od frontu wgłębiony portyk, w roku 1955 został przez Powiatowy Zarząd Rolnictwa w Lubartowie sprzedany na rozbiórkę bez uprzedniego porozumienia się z władzami konserwatorskimi. Interwencja nastąpiła w chwili, gdy część środkowa — najwartościowsza — została pozbawiona pokrycia dachowego. Dziś pracownice Konserwacji Zabytków z Warszawy przystępują do odbudowy zniszczonego bezmyślnie zabytku. Wyremontowana również będzie zabytkowa brama oraz zabezpieczone zostaną ruiny zamku.

Obecnie nad zabytkami Zawieprzyc czuwa mianowany przez PTTK społeczny opiekun zabytków, kierownik szkoły podstawowej, Władysław Wysocki. Można mieć nadzieję, że pod jego okiem zabezpieczone w bieżącym roku przez Wydział Kultury Prezydium WRN zabytki staną się trwałą atrakcją tej uroczo położonej miejscowości.



(u góry) Kolumna przed wjazdem do zamku w Zawieprzycach. Jest to prawdopodobnie drogowy znak z okresu budowy zamku w XVII wieku.

Fot. Janusz Bogdanowski.

(powyżej) Należący do zespołu zamkowego spichlerz z XVII wieku, wyremontowany w roku 1954 z funduszy konserwatorskich.

Fot. Janusz Bogdanowski.

(obok) Główna brama wjazdowa (wczesny barok) zamku w Zawieprzycach. We wnękach zapewne stały niegdyś figury.

Fot. Janusz Bogdanowski.



DAWNE POCZTY POLSKIE

POCZTY Z KALENDARZA

W XIX-wiecznym kalendarzyku *Berliner Kalender auf das Gemein Jahr 1839* znajdujemy garść szczegółów dotyczących poczt, głównie wielkopolskich, w pierwszej połowie ubiegłego stulecia. Kalendarzyk ów bowiem podaje rozkład jazdy krajowych i zagranicznych połączeń dyliżansowych a także taryfę opłat.

I tak po wykupieniu biletu na dyliżans wolno było ze sobą zabierać od 10 do 30 funtów bagażu bezpłatnie. Przejazd 1 mili zwykłą pocztą po dobrej drodze, w ciepłych okresach roku miał trwać 1,5 godziny, a po złej drodze latem lub zimą w ogóle — 2 godziny. Konny posłaniec lub poczta pośpieszna przebywała odległość 1 mili w czasie od 3 kwadransów do 1 godziny. Poczta konna zabierała w zasadzie tylko listy, których waga nie przekraczała 2 funtów, czyli ok. 25 g. Przewóz listów prze-

kracających tę wagę wypadal o wiele drożej.

Kalendarz podaje m. in. zagraniczne połączenia pocztowe, np. z Akwizgranu do Leodium, Monasteru i Amsterdamu. Ponadto mamy tu połączenia z Berlina do Wrocławia, Bydgoszczy, Gdańska, Zgorzelca, a wreszcie połączenie Berlin—Poznań.

Trasa Berlin—Poznań wiodła przez Kostrzyn, Skwierzynę, Pniewy i Bityń. We wtorki i w soboty o godzinie 7 wieczorem dyliżans wyruszał z Berlina, a do Poznania przybywał

w środę i w niedzielę o 21.45. Linia Poznań—Warszawa biegła przez Wrześnię, Strzałkowo, Słupicę, Konin, Koło, Kutno, Łowicz, Sochaczew i Błonie.

Z Poznania szły również poczty do Wrocławia, Głogowa, Szczecina i Torunia.

Istniała również linia dyliżansów z Wrocławia do Warszawy, przy czym koszt tego przejazdu wynosił 10 talarów, 20 groszy srebrnych.

Oprac. Wiesława Cichowicz



(powyżej) Dyrektor Muzeum Poczty p. Aleksander Śnieżko nadesłał nam reprodukcję ryciny, przedstawiającej „trójkę pocztową”. „Pamiętnik Seweryna Łusakowskiego” (PIW, 1953, wyd. drugie) zawiera opis podróży takim wehikułem w roku 1848. Czytamy tam: „Nadleciało troje koni zaprzęgniętych do wózka nieznaney mi formy: słomą na wózku nie zakryta niczym, dzwonek u dyszla, furman w jakiejś dziwnej czapce watowanej niby rogatej, na której była przyczepiona żółta blacha”.

(obok) Budynek zajazdu z XVIII wieku w Zatorze (naprzeciw zamku). Mieściła się niegdyś także stacja dyliżansów pocztowych. Data 1892 umieszczona na dachu odnosi się zapewne do remontu przeprowadzonego w tym roku.

Fot. Janusz Bogdanowski.

ZAMARŁY OŚRODEK PRZEMYSŁOWY

Alojzy Waszek

Dnia 9 stycznia 1897 roku wygaszono na zawsze wielki piec w Ustroniu. W roku 1904 zburzono kuźnię Krystyny. Z końcem 1906 zamknięto odlewnię, a w dwa lata później kotłownię przy fabryce maszyn.

Poważny niegdyś ośrodek metalurgiczny zamarł po 136 latach istnienia.

W roku 1770 geolodzy wykryli na terenie całego pogórza cieszyńskiego obecność rudy żelaznej. Obliczywszy możliwość osiągania większych dochodów z hutnictwa aniżeli z rolnictwa, książę Albrecht, a właściwie zarząd jego dóbr, zakłada w roku 1772 hutę

tygodnia przeciętnie ćwiartkę żyta, która kosztowała 4 floreny i 30 krajcarów, a do tego dochodziły przecież takie wydatki, jak np. na sól, obuwie i inne potrzeby. Robotnicy pisali więc prośby do Komory Cieszyńskiej w sprawie poprawy zarobków. Dodano im po 9 krajcarów na dzień. Niestety i te zarobki nie wystarczyły na zakup ziemniaków i zboża na chleb.

Przy kopaniu rudy i eksploatacji znalezionych pokładów zarząd habsburskiej Komory Cieszyńskiej nie liczył się zupełnie z chłopami, na których gruncie znaleziono rudę. Mimo protestów i



w Ustroniu, jedną z pierwszych na terenie Komory Cieszyńskiej. Stwierdza to tablica pamiątkowa, wmurowana na zewnętrznej ścianie jednego z budynków fabrycznych, z następującym napisem: „Herb Albrechta Kazimierza (1738-1822) księcia sasko-cieszyńskiego królewicza Polski i Litwy syna króla polskiego Augusta III twórcy przemysłu hutniczego na Śląsku Cieszyńskim.”

Celem uzyskania funduszy na tę inwestycję rozparcelowano kilka folwarków, ziemię sprzedając miejscowym chłopom. W środku Ustronia postawiono wielki piec. Stare zdjęcie, pochodzące z drugiej połowy XIX wieku, potwierdza słowa W. Rodzińskiego: „A tam zaś mają piece wielkie i przestronne, wysokie jak kominy, na czworogrąń lepione.”

Miejscowość tę wybrano nie bez racji pod założenie huty. Leży ona nad Wisłą, którą można było wykorzystać jako źródło energii do poruszania turbin, miejscowe pokłady wapienia dostarczyły topnika, a okoliczne lasy — drewna na opał. Trzeba zaznaczyć, że żelazo wytapiano wówczas wyłącznie przy użyciu węgla drzewnego. W Ustroniu istniała już wówczas cegielnia.

Zawrzała praca. Przy kopaniu rudy zatrudniono około 200 ludzi. Zarobki ich były bardzo niskie. W roku 1845 wynosiły one od 24 do 27 krajcarów dziennie. Przy rosnącej stale drożyznie nie wystarczyło to nawet na wyżywienie. Rodzina bowiem spożywała w ciągu

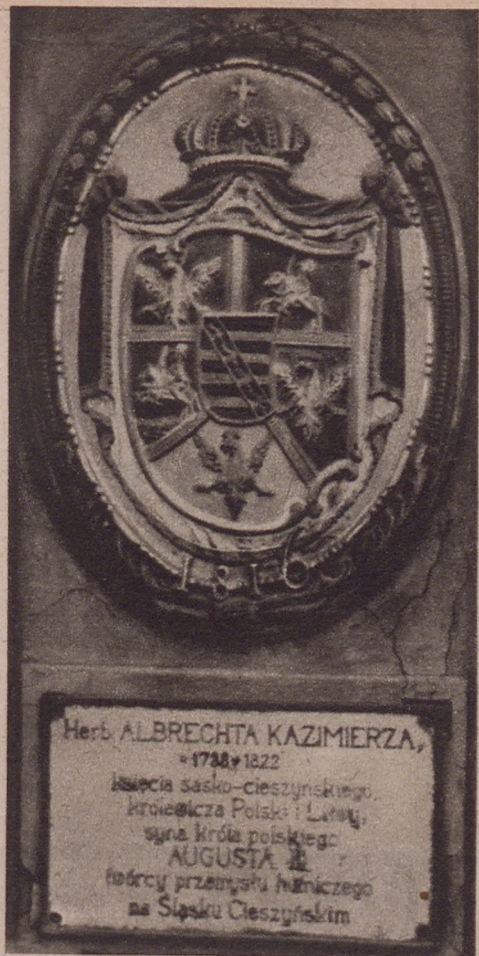
zażaleń zakładano kopalnie, sypano hałdy z bezużytecznej skały. Gromadzono rudę w stosach niszcząc ziemię uprawną. Niejednokrotnie chłop, mimo szkód, jakie ponosił, musiał jeszcze odwozić rudę do huty. Była to powinność pańszczyzniana.

Obok wielkiego pieca wybudowano równocześnie kuźnię, zwaną hamrem Adama. W następnych latach powstała kuźnia Jana, a w roku 1820 kuźnia Alberta. W Górnym Ustroniu, poniżej dzisiejszego nadleśnictwa stanęła kuźnia Krystyny.

Młoty we wszystkich kuźnicach poruszała woda, którą doprowadzono specjalnym kanałem z Obłazca wzdłuż Górnego Ustronia. Przy każdej kuźni spiętrzone wodę w sztucznym zbiorniku. Do dziś pozostało w Ustroniu pięć stawów z tych czasów.

Kanałem spławiano również drewno z miejscowości Wisła. Ludzie trudniący się flisactwem zarabiali od 15 do 20 krajcarów dziennie.

W latach 1809/10 rozpoczęto produkcję także wyrobów z miedzi i jej stopów. Kuźnię Adama zamieniono na hutę miedzianą oraz kotłarnię, dołączając do tego niebawem odlewnię mosiądzu. W dwadzieścia siedem lat później zamieniono papiernię na Polanie na kuźnię Teresy. W roku 1820 stanęła tuż obok wielkiego pieca odlewnia i formiarnia, w której wytwarzano koła zębate, moździerz, garnki, piece, części itp. wyroby żelazne.



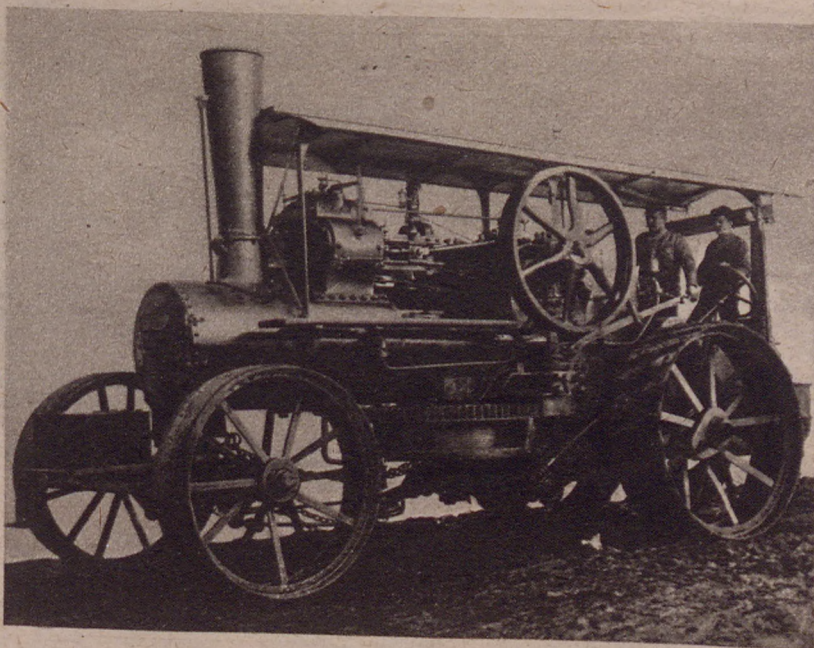
(obok) Tablica pamiątkowa przedstawiająca herb założyciela ośrodka przemysłowego w Ustroniu, księcia Albrechta Kazimierza.

(niżej) Herb Ustronia — pług, las i młoty górnicze na tle wschodzącego słońca.

(jeszcze niżej) Zdjęcie pierwszego ciągnika parowego (do pługów) jaki na kontynencie europejskim wyprodukowany został właśnie w Ustroniu.

(najniżej) Widok wielkiego pieca w Ustroniu wg starej fotografii.

(z lewej) Tak wyglądała niegdyś walcownia w Górnym Ustroniu. Zbudowano ją w r. 1846 i początkowo napędzano za pomocą kół wodnych.



W latach czterdziestych XIX wieku zbudowano w sąsiedztwie wielkiego pieca w Ustroniu osiem pieców fryszerskich (świeżarek). W następnych jednak latach wznoszono już tylko piece pudlowe, które kilkakrotnie przedziej przerabiała surówkę na żelazo kowalne, potrzebne do nowej walcowni w Górnym Ustroniu, zbudowanej w roku 1846. Była ona początkowo napędzana za pomocą kół wodnych. Dopiero po 15 latach zmieniono napęd wodny na parowy.

W okresie największego rozwoju przemysłu metalowego w Ustroniu zatrudniano przeszło 2000 robotników. Pierwotnie w hutach praca trwała od 12 do 14 godzin na dobę. Później — przez dłuższy czas 11 godzin. Około roku 1891 obowiązywał czas pracy 10 i pół godzin. Na żądanie robotników niedługo przed pierwszą wojną światową dzień pracy skrócono do 10 godzin.

Zarobki robotników ustronńskiej hu-

ty w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia wynosiły przeciętnie 250 zł rocznie. Z tego około 31% potrącano za towary pobrane w konsumpcie.

Przy kuźni Adama powstał warsztat obróbki skrawaniem, który w niedługim czasie zmieniono na fabrykę maszyn. W roku 1867 powstała przy niej kotłownia i zakład budowy mostów żelaznych, w roku 1874 wreszcie — fabryka śrub i nitów. W ustronńskiej wytwórni maszyn zbudowano między innymi pierwszy na kontynencie pług parowy.

Ten stosunkowo szybki rozwój przemysłu metalurgicznego stał się równocześnie przyczyną jego zaniku. Rosnącego zapotrzebowania rudy żelaznej Śląsk Cieszyński nie mógł zaspokoić.

Miejscowa niskoprocentowa ruda to tzw. sferosyderyt. Dziś jeszcze można spotkać warstwy tego minerału w potokach górskich: Olzie Istebniańskiej, Białej Wisielce, Gościeradowcu i innych. Obróbka tego surowca była dość zmu-

na. Najpierw rozdrabniano rudę i poddawano przez dłuższy czas wietrzeniu na powietrzu, następnie prażono ją, a dopiero po tych zabiegach nadawała się do topienia w wielkim piecu.

W trzecim ćwierćwieczu XIX w. odkryto w Słowacji pokłady o wiele wydajniejszej rudy żelaznej, którą zaczęto przewozić wozami konnymi na Śląsk. Daleka i mozolna ta jazda trwała około dwóch tygodni. Toteż nic dziwnego, że gdy w roku 1872 otwarto kolej koszycko-bogumińską, pozostawiając Ustron na uboczu — nastąpić musiał upadek tutejszego przemysłu hutniczego.

W roku 1877 przeniesiono walcownię do Trzyńca, całe urządzenie przewożąc z Ustronia. W trzy lata później przerzucono zakład budowy mostów do Lipiny przy Frydku. Wraz z tymi zakładami pracy opuściło Ustron około 1000 robotników. Pozostały jeszcze na jakiś czas w Ustroniu: wielki piec i od-

lewnia, fabryka maszyn i kuźnia Krystyny. Lecz i te nie mogły się długo utrzymać. Pomimo wybudowania w roku 1881 kolei Cieszyn-Bielsko z odnogą do Ustronia, transport rudy był ciągle za drogi.

Nieuchronne zamieranie ośrodka postępowoło coraz szybciej.

W dzisiejszej uroczej i spokojnej miejscowości letniskowej trudno odzukać ślady dawnego przemysłu. I tak np. z kuźni Krystyny pozostała tylko turbina z kawałkiem muru nad młynówką, z kuźni Teresy — turbina i kilka domów mieszkalnych na Polanie, z kuźni Alberta — jeden budynek. Dzisiejsza szkoła zawodowa — to też reszta dawnego ośrodka przemysłowego, a nazwa zakładu wytwórczego Kuźnia-Ustron pozostała po kuźni Adama.

Alojzy Waszek



Spotkanie z własnym cieniem

W czasie swych górskich wędrówek już nieraz może spotkaliście się z „nim“ — z własnym cieniem wiernie powtarzającym wasze ruchy na tle chmur. To często spotykane w wysokich górach „zjawisko Brockenu“. Chmury spełniają rolę ekranu a człowiek stojący między nimi a słońcem rzuca na nie swój cień zwykle zniekształcony wskutek ich nierównej skłębionej powierzchni. Oczywiście koniecznym warunkiem wyraźnego zjawiska Brockenu jest dość ostre słońce znajdujące się niezbyt wysoko nad horyzontem. Jego promienie rozszczepiają się w kropelkach mgły (podobnie jak przy zjawisku tęczy) otaczając cień wielobarwną aureolą. Piękne to zjawisko wzięło nazwę od najwyższego w górach Harzu szczytu Brocken (1142 m), na którym uczeni po raz pierwszy zbadali to zjawisko.

ZDZISŁAW PISKORNIK

KARPACKIE HIEROGLIFY

DO KOŃCZENIE

morski. W miarę jak szybkość prądu maleje, woda osadza coraz drobniejszy materiał i w efekcie powstaje lawica warstwowana frakcjonalnie. Ostatnie opadają najdrobniejsze cząsteczki ilaste, zamienione dziś w lupek ściśle związany z lawicą leżącego pod nim piaskowca. Naturalnie nie może tu być mowy o takiej selekcji materiału, jaka zachodzi w prądzie rzeczonym. Stąd też wynika i pomieszczenie żwirów z bardzo drobnym piaskiem znajdujące u dołu lawicy warstwowanej frakcjonalnie. Stąd również pochodzą fragmenty łupków tkwiące w drobnym piasku w górnej części lawicy.

Prądy zawieszinowe pozwalają nam

właśnie tłumaczyć „hieroglify“, zjawisko tak charakterystyczne dla flisza.

Wiemy już, że trzymając w ręku płytkę piaskowca z hieroglifami mamy przed sobą odcisk (negatyw) wycinka dna morskiego. Wałki i nierówności — to ślady pęczania zwierząt żerujących niegdyś na mulistym dnie lub ślady ruchów wody, zachowane nieraz z najdrobniejszymi szczegółami. Prąd wody, który zdolny byłby transportować materiał o średnicy takiej, jaką spotykamy w piaskowcach hieroglifowych, musiałby doprowadzić przez erozję dna do zupełnego zatarcia tych bądź co bądź delikatnych struktur odcisniętych na miękkim mule. Jak wykazały doświadczenia prąd zawieszinowy, poza swoim początkowym stadium, nie eroduje podłoża, lecz przeciwnie, doskonale przyczynia się do utrwalenia wszelkich jego rysów, ponieważ niesiony materiał osadza dość nagle.

Wśród hieroglifów na uwagę zasłu-

guje jeden typ dość pospolicie spotykany w niektórych okolicach Karpat. Są to długie, dość wysokie wałki, przebiegające zupełnie prosto na spodnich powierzchniach lawic. Niekiedy na wałkach widać charakterystyczne delikatne żeberkowanie, dzięki któremu robią one wrażenie odcisków pni lub jakichś roślin. Przy dużej dozie szczęścia można znaleźć zakończenia tych hieroglifów. Wałki takie urywają się na mniejszych lub większych fragmentach ostrokrawędzistych łupków, które wleczone po dnie pozostawiały za sobą bruzdę, następnie zasypaną przez piasek. Dzięki znacznej gęstości prądu niesione przez wodę fragmenty łupku nie zostały ogładzone, jak to się dzieje np. z fragmentami, które spotykamy w górskim potoku. Ostre krawędzie owych kawałków łupku pozostawiły delikatne żeberkowanie na dnie morskim, o których była mowa.

W sąsiedztwie „ślądów wleczenia“

jak możemy nazwać ten typ hieroglifów, spotykamy nieraz hieroglify, które pozostawiły zwierzęta żyjące na dnie morskim. Te hieroglify są znacznie mniej wyraźne, zarysy mają zatarte. Zsuw podmorski zatarał je częściowo, przynosząc jednocześnie zagładę życiu organicznemu na tym odcinku dna. Szare i monotonne na pierwszy rzut oka warstwy piaskowców fliszowych kryły i kryją jeszcze wiele zagadek interesujących naukę. W ostatnich czasach niektóre z nich udało się rozwiązać i o nich była mowa w powyższym artykule, inne czekają na swoją kolej wobec coraz dokładniejszych obserwacji zjawisk zachodzących w dzisiejszych basenach morskich. A doświadczenia dokonywane w tym kierunku i dalsza obserwacja form utrwalonych w warstwach skalnych pozwalają nauce na coraz to lepsze poznanie tego do tak niedawna tajemniczego utworu, jakim był flisz. Andrzej Radomski



NA DOLNYM POWIŚLU

Jan Małecki

Było to z górą 125 lat temu, jesienią 1831 r. Powstanie listopadowe dogorywało. Korpus gen. Rybińskiego zbliżał się do granicy pruskiej. Dnia 6 października na rozkaz naczelnego wodza wojsko polskie przekroczyło granicę zgodnie z porozumieniem zawartym uprzednio przez gen. Antoniego Wronieckiego z pruskimi władzami wojskowymi. Weszło na oderwane od Polski w pierwszym rozbiore i silnie germanizowane obszary dolnego Powiśla. Żołnierze znaleźli się więc jeszcze na polskiej ziemi, ale już poza kordonem — w obcym państwie. Składali broń lub niszczyli ją, aby nie oddać Prusakom, bo tylko oficerowie zachowywali szpady. Internowane wojsko polskie miało najpierw przejść kwarantannę w okolicach Brodnicy, władze pruskie obawiały się bowiem zawleczenia do Prus panującej wówczas w Królestwie Polskim cholery. Po pięciu dniach kwarantanny rozlokowano Polaków w miastach i wsiach Powiśla. Gen. Rybiński

wraz ze sztabem oraz artyleria pod dowództwem gen. Bema otrzymali kwatery w Elblągu i okolicznych wsiach. Tam też ulokowano blisko dwa tysiące żołnierzy ze słynnego czwartego pułku piechoty. Resztę piechoty pod dowództwem pułk. Feliksa Breańskiego umieszczono w Malborku i okolicy, jazdę pod pułk. Koską — w Tczewie.

W Elblągu pierwsi powstańcy polscy pojawili się już w końcu września. Było to 21 oficerów polskich przewożonych już przedtem pod eskortą do Gdańska. 17, 18 i 19 października przybyły oddziały internowanego wojska polskiego (wg urzędowych źródeł pruskich razem blisko trzy tysiące żołnierzy i 276 oficerów). Stosunek do nich

miejscowej ludności był bardzo serdeczny.

Lata powstania listopadowego: 1830—1831 to okres dużego nasilenia sympatii ku Polsce na terenie Niemiec. Na podłożu wzrastających nastrojów liberalnych i ruchów narodowo-wyzwoleńczych w całej Europie Polska walcząca o niepodległość budziła podziw w oczach zachodnich sąsiadów. W języku niemieckim, w którym dotychczas mało powiedziano dobrych i serdecznych słów o Polsce, powstawały teraz utwory sławiące walkę Polaków. Określane były ogólnie mianem „Polenlieder“. Najbardziej znaną wśród nich i przetłumaczoną na język polski jest pieśń o ostatnich żołnierzach z czwartego regi-

mentu. Wśród niemieckiej ludności Elbląga sympatia do powstańców polskich była tym silniejsza, że nie zamarły jeszcze tradycje przynależności tego miasta do Polski. Toteż powitano oficerów i żołnierzy polskich bardzo gościnnie. Rej w tym wodzili, otwierając przed nimi domy swe, przywódcy miejscowych liberalistów: kupiec Jakub von Riesen i landrat Karol Abramowski. Oficerowie polscy spędzają czas na koncertach urządzanych „Pod złotym lwem“ i w domach prywatnych, odwiedzają teatr miejski, oglądają Elbląg, jego zabytki i sklepy, z uznaniem patrzą na gospodarność mieszkańców. Wyczekują wszyscy na wiadomości z kraju, rozglądają się za możliwościami wyjazdu do Francji, Saksonii lub Galicji. Zdarzają się smutne uroczystości, jak pogrzeb (z honorami wojskowymi) dwóch zmarłych oficerów: porucznika artylerii Smoleńskiego i pułkownika Antoniego Puszeta. Zachodzą przykre incydenty, jak wysoce nietaktowne wystawienie właśnie 6 listopada w teatrze miejscowym wodewilu pióra Louis Angely pt. „Przygoda w karczmie żydowskiej w Polsce“ („Das Abenteuer in der polnischen Judenschänke“) ze scenami niemiłymi dla Polaków, kiedy to na znak protestu obecni w teatrze Polacy demonstracyjnie opuścili salę, lub ukazanie się wrogiego artykułu w miejscowej gazecie w dniu 15 listopada. Ogólnie jednak rzecz biorąc, stosunek mieszkańców Elbląga do żołnierzy polskich był przychylny i miły a nawet serdeczny (dają temu wyraz m. i. zachowane pamiątki generałowej Małachowskiej czy kapitana Ekielskiego). Nie można natomiast tego powiedzieć o pruskich władzach wojskowych.

Rząd pruski, reprezentowany przez pułk. Karola von Drygalskiego (komisarza do spraw wojska polskiego) udzielał wprawdzie pewnego zasiłku finansowego żołnierzom polskim, był jednak do nich usposobiony jak najnieprzychylniej. Trudna sytuacja Polaków stała się jeszcze przykrejsza z chwilą ogłoszenia amnestii carskiej dla byłych powstańców. Z zawiadomieniem o niej przybył do żołnierzy polskich pułk. baron Karol von Canitz, były attaché wojskowy pruski przy sztabie Dybicza i Paskiewicza. Sporządził on listę oficerów pragnących skorzystać z amnestii. Sam zaś powrót amnestionowanych zorganizował major Henryk Brandt (pochodzący z Poznańskiego). Władze pruskie stosowały różne formy nacisku na Polaków w celu skłonienia ich do powrotu. Wielu wszakże oficerów i żołnierzy opowiedziało się za pozostaniem na emigracji. Ich faktycznym przywódcą stał się wkrótce gen. Bem. Władze pruskie starały się oddzielić oficerów od żołnierzy. Oficerom dozwolono na wyjazd grupami za granicę, żołnierzy, którzy nie chcieli lub nie mogli skorzystać z amnestii, przenoszono do innych miejscowości, położonych bliżej granicy. Wywołało to zaniepokojenie w wojsku polskim dopatrującym się w tym próbie przymusowego odstawienia do kraju. Spowodowało to zatargi Polaków z wojskiem pruskim. Początkowo były to starcia bez rozlewu krwi. Zaczęły się w Elblągu. Internowani tu „czwartacy“ nie chcieli zgodzić się na przekwaterowanie. Sprowadzony w związku z tym szwadron huzarów pruskich uderzył na



(u góry) Masakra żołnierzy polskich internowanych w Fischawie w r. 1832, wg ryciny, zamieszczonej we współczesnym czasopiśmie francuskim.

Szarża szwadronu pruskich huzarów na bezbronnych jeńców polskich z pułku czwartaków („tysiąc walecznych“) w Elblągu. Również, wg ryciny francuskiej.

Pismo „Camping, Voyages, Plein Air”¹, którego 34 rocznik (z r. 1956) mam przed sobą, nie łatwo scharakteryzować, zwłaszcza dla polskiego czytelnika. Jest w nim i krajoznawstwo, i turystyka, i sporty terenowe, są podróże i wspomnienia z obozowania, są recenzje z przewodników i filmów krajoznawczych, a także zasady gimnastyki narciarskiej, praktyczne sposoby ładowania sprzętu biwakowego do samochodu i nowe wzory harpunów na ryby morskie dla nurków. Niemniej warto przejrzeć je choćby tylko dlatego, aby zobaczyć, jak bardzo różni się turystyka nasza od francuskiej.

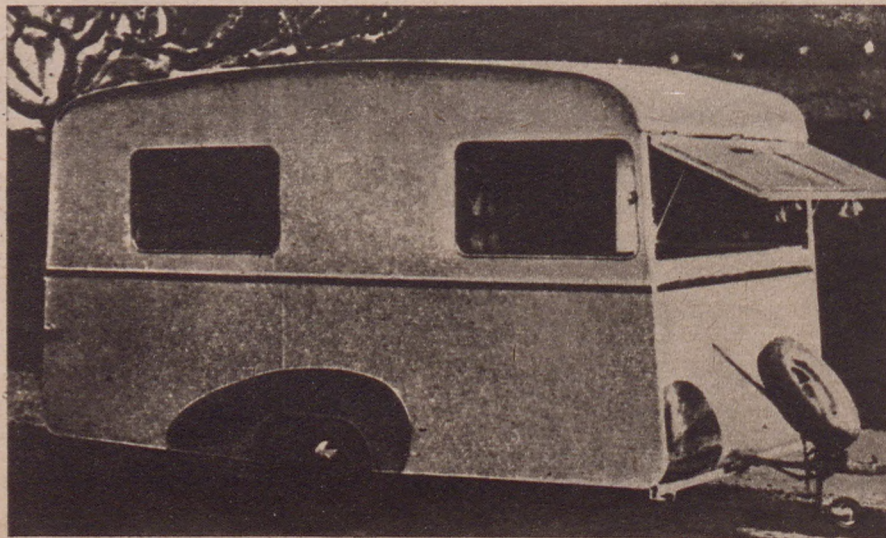
W naszych pismach reportaży z NRD czy z Czechosłowacji zaliczymy już do działu „podróży” i wyodrębniły wyraźnie od tematyki krajoznawczej. We Francji turysta, jadąc swym samochodem, za ledwie zauważy — w dobie obecnych ułatwień paszportowych na zachodzie Europy — że minął granicę i jest już w Szwajcarii, w Belgii czy we Włoszech. Wakacje w Hiszpanii czy Norwegii, jeśli spędza je nocując w namiocie, nie kosztują go więcej niż we Francji. Toteż i zainteresowania krajoznawcze przechodzą tu bez wyraźnej granicy w podróźnicze, geograficzne. W każdym z numerów omawianego pisma mamy jeden lub kilka artykułów opisujących ciekawe zakątki Francji, obok opisów Laponii, najciekawszych terenów turystycznych Hiszpanii, a nawet tak egzotycznych krajów, jak Afryka Południowa, Kanada czy też wyspy na Pacyfiku. Przy całej odmienności naszych warunków trzeba — jak sądzę — pamiętać, że nasze granice polityczne nie zawsze pokrywają się z naturalnymi granicami geograficznymi ani też z granicami etnicznymi. U nas więc także zainteresowania krajoznawcze mogą i powinny wychodzić poza teren Polski, jak to zresztą niekiedy bywa np. w terenie konwencji turystycznej polsko-czechosłowackiej.

Krajoznawcę-turystę zainteresują w piśmie „Camping, Voyages” bardzo liczne notatki praktyczne dotyczące sprzętu obozowego, praktycznych zasad podróżowania, fotografii terenowej, filmowania. Niemniej ciekawe są i ogłoszenia: z zazdrością patrzmy jak bogaty jest we Francji wybór sprzętu od prostych i tanich namiotów i kuchenek turystycznych po luksusowe domki — przyczepy do samochodów, materace nadymane z rozmaitymi pomysłowymi uzupełnieniami czy kosztowne harpuny do

połowu ryb morskich przez nurków. Bardzo wiele miejsca zajmują w piśmie „sporty terenowe”: alpinizm, wyprawy do jaskiń, kajakerstwo, nurkowanie, narciarstwo turystyczne.

Każdy numer pisma zawiera program imprez organizowanych przez paryski oddział klubu kempingowego. W lecie są to przede wszystkim obo-

można znaleźć ich omówienia, wskazania błędów i osiągnięć. Podobna krytyka, którą — jak sądzę — powinna by zająć się i „Ziemia” na pewno przyczyniłaby się do propagandy tak ważnego działu popularyzacji krajoznawstwa, jakim jest film, a także pomogłaby samym twórcom tych filmów w ich dalszej pracy.



zy i wycieczki połączone z biwakowaniem, ale w okresie zimy organizowane są również pokazy filmów krajoznawczych, wykłady, wystawy i konkursy fotograficzne. Niektóre z imprez są dla nas dość osobliwe, np. bal kempingowców-nudystów lub organizowany przez nich propagandowy pokaz filmów.

Niektóre artykuły lub stałe działy pisma mogłyby, mimo całej swoistości, być wzorem i dla nas. Tak np. w numerze z kwietnia 1956 r. zamieszczono ciekawy reportaż-opis, jak powstaje mapa: zagadnienie bliskie każdemu krajoznawcy. Przy większości artykułów i notatek krajoznawczych znajdujemy dobrze uzupełniające ich treść mapki. Ciekawe są też wszelkie materiały o metodyce krajoznawstwa: o fotografii w terenie, o rozpoznawaniu gatunków ryb, obserwacji ich życia itp. Wreszcie pismo zamieszcza wiele recenzji z filmów krajoznawczych. Uderzające jest, że choć w Polsce tego rodzaju filmów produkuje się sporo (np. w ostatnim roku kolorowy „Ojców” i bardzo ciekawy „Sandomierz” Hermanowicza), to jednak nigdzie nie

W numerze z kwietnia 1956 r. znajdujemy bardzo interesujące wyniki ankiety wśród czytelników pisma. Dotyczą one pochodzenia, środków transportu używanych w czasie wędrówek, sposobów obozowania i życzeń. Spośród nadesłanych odpowiedzi 31% pochodzi z Paryża, 42% z innych wielkich miast, 27% z małych miasteczek, 28% uczestników ankiety — to robotnicy, za ledwie 3% — studenci, reszta — wolne zawody, handlowcy, urzędnicy. Niezwykle odbiega od naszych warunków zestawienie sposobów transportu używanych w czasie wędrówek: 51% uczestników ankiety korzysta z lokomocji samochodowej, 20% jeździ koleją, 10% statkami, 6% autobusami, reszta skuterami i motocyklami (17%), rowerem (9%), samolotem (1%), motorowerami (4,5%) lub w ramach organizowanych wycieczek zbiorowych (2%). Średnia ilość nocy spędzonych na biwakach w terenie wynosi 37 na rok, 95% uczestników ankiety biwakuje w namiotach. Charakterystyczne jest, że 45,5% ludzi unika całkowicie zorganizowanych miejsc obozowych, a przeważnie domagają się



4% francuskich turystów nocuje podczas wędrówek po kraju w takich wozach kempingowych. Są to mieszkalne przyczepy do samochodów osobowych.

Plak — bohater jednego z filmów krajoznawczych. W Polsce pionierami „myślistwa fotograficznego” są Włodzisław Puchalski i jego współpracownicy.



¹ Miesięcznik wydawany w Paryżu przez Camping Club de France.



1. Wolne zawody : 10 %
2. Robotnicy : 28 %

3. Urzędnicy : 25 %
4. Kupcy : 6 %

5. Biuraliści : 28 %
6. Studenci : 3 %



Noclegi w namiotach: 95%

W wozach campingowych: 4%

W miasteczkach campingowych: 1%



Obozy state: 16%



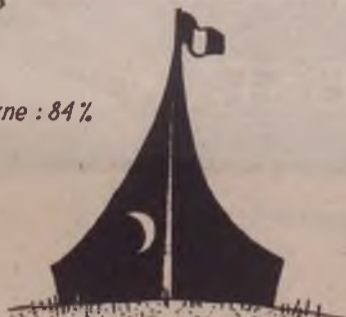
Obozy wędrowne: 84%



Kuchnia obozowa: 72,5%



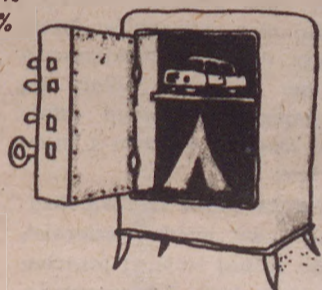
Restauracja niekiedy: 28% często: 4,5%



Przeciętna ilość noclegów w namiocie: 37



Przeciętny budżet wakacyjny: 50.000 Fr. na rodzinę 18.000 Fr. na wędrowca



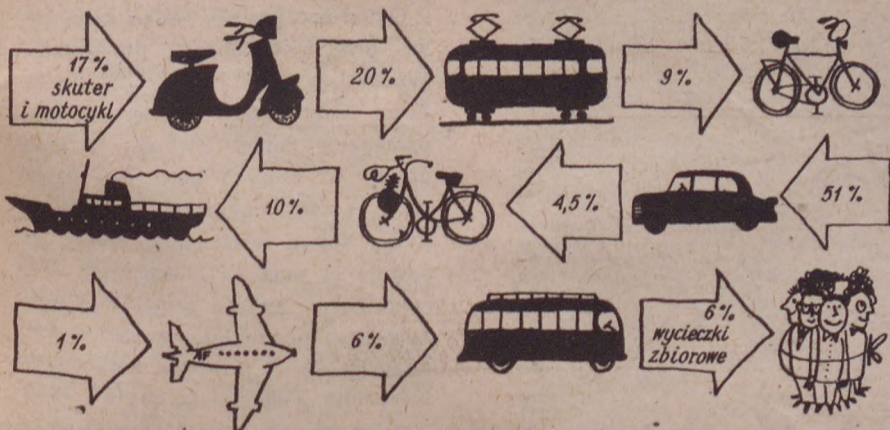
Wartość globalna sprzętu campingowego (przeciętna) 42.000 Fr. na rodzinę 40.000 Fr. na wędrowca

oni przy tym większej swobody obozowania lub zmian w organizacji tego rodzaju obozów. Zupełnie już odmiennie, niż to z pewnością byłoby u nas, przedstawia się odpowiedź na pytanie, co do zaopatrzenia w materiały do obozowania, gdyż 51% uczestników ankiety wyraża zadowolenie ze sprzętu. Także 62% odpowiadających wyraża zadowolenie z posiadanych środków transportu, jedynie 9% chciałoby zamiast koleją — podróżować autem. Nic dziwnego, skoro 51% już podróżuje własnymi samochodami.

K. Kowalski

▲ (powyżej) Niektóre wyniki ankiety „Camping Voyages.” Wszystkie rysunki z pisma francuskiego.

▼ (u dołu) Jakimi środkami komunikacji posługują się Francuzi. Zwróćcie uwagę na wymowny symbol, oznaczający wycieczki zbiorowe!



W sobotę 15 grudnia 1956 r. w Domu Turysty przy Starym Rynku w Poznaniu odbyło się spotkanie krajoznawców z dawnego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego z aktywnym turystyczno-krajoznawczym Wielkopolski. W czasie spotkania prezes Zarządu Okręgu PTTK w Poznaniu mgr Franciszek Jaśkowiak opowiedział o początkach zorganizowanego ruchu krajoznawczego na terenie Poznania.

W niezwykle ciężkich warunkach, w okresie ożywionej działalności „Hakaty” i obowiązywania osławionej „ustawy kagańcowej” zabraniającej Polakom mówić po polsku w miejscach publicznych, grono mieszkańców Poznania zorganizowało w roku 1913 Towarzystwo Krajoznawcze. Inicjatywa przyszła z Warszawy, gdzie istniało ono już od lat 7, a poprzedzona była działalnością objętych statutem warszawskiego PTK — „korespondentów zagranicznych” z Poznania. Śmiały jak na owe czasy samodzielny statut Towarzystwa Krajoznawczego w Poznaniu głosił, że terenem jego działalności jest Wielkopolska, Śląsk, Pomorze, Prusy Zachodnie i Wschodnie, tj. ziemie polskie wchodzące w skład państwa pruskiego.

Organizatorem ruchu krajoznawczego w Poznaniu: pierwszemu prezesowi Bernardowi Chrzanowskiemu, sekretarzowi ks. drowi Janowi Noryśkiewiczowi, Cyrylowi Ratajskiemu, Anieli Koehlerównie i innym przyświecały ideały PTK wyrażone w znanym hasle Aleksandra Janowskiego: „Poprzez poznanie — do umiłowania kraju, poprzez umiłowanie — do czynów ofiarnych”.

Pierwsza wojna światowa a następnie okupacja hitlerowska sprawiła, że nie można dziś znaleźć śladów pisanych (protokołów zebrań i in.), dotyczących rozwoju Towarzystwa Krajoznawczego. W okresie międzywojennym poza oddziałem poznańskim istniało na tym terenie siedem innych oddziałów z 800 członkami, którzy pracą swą wysunęli się na jedno z czołowych miejsc w polskim ruchu turystyczno-krajoznawczym. Z tym okresem pracy PTK związane są nierozdzielnie nazwiska prof. dra Stanisława Pawłowskiego — pierwszego prezesa PTK okresu międzywojennego, dra Tadeusza Smolkowskiego, Józefa Strużyńskiego, dra Antoniego Jakubskiego, prof. Jana Kilarskiego, Pachońskiego, Stanisława Moskałewskiego, Zygmunta Zaleskiego, Mieczysława Krzyżankiewicza, Juliana Kisielewicza, Wandy Hoppe, Eleonory Bestyńskiej.

Członkowie PTK rekrutowali się w przygniatającej większości z inteligencji zawodowej, odsetek drobnych kupców, rzemieślników i robotników był bardzo mały. Robotnicy licznie uczestniczyli natomiast w wycieczkach popularnych.

Nie wszystkim działaczom PTK dane było przetrwać okres okupacji i w roku 1945 stanąć ponownie do pracy w służbie krajoznawstwa. Na terenie Wielkopolskiego Parku Narodowego, w leśnictwie Wypalanka, w jednej z masowych mogił Polaków zamordowanych w 1940 r. przez hitlerowców spoczywają też prochy pierwszego prezesa PTK w Poznaniu, Stanisława Pawłowskiego.

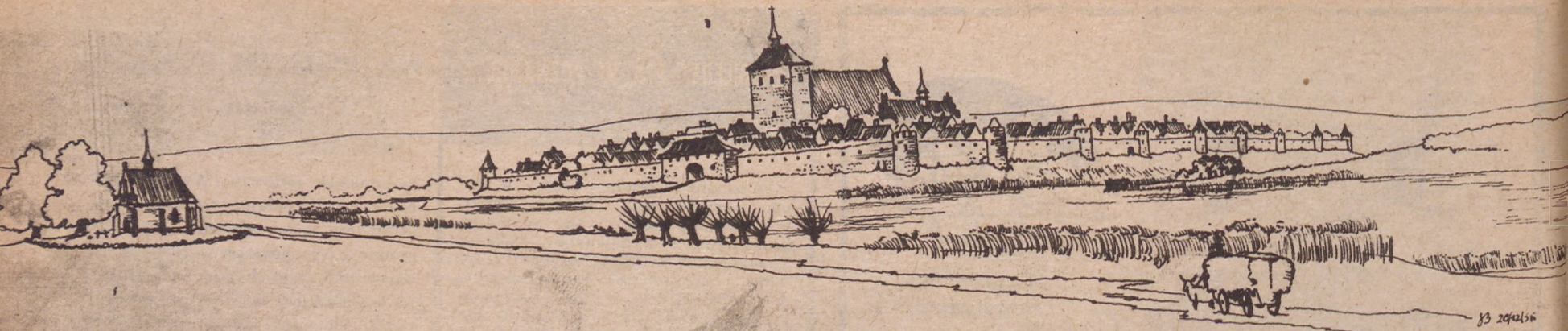
Aby odtworzyć obraz pracy PTK Zarząd Okręgu PTTK w Poznaniu zwrócił się z apelem do społeczeństwa Wielkopolski o nadsyłanie posiadanych materiałów dotyczących pracy organizacji turystyczno-krajoznawczych w minionych latach, w postaci zdjęć, protokołów zebrań, opisów wycieczek itp. Sądzimy że akcją tą spotka się z zrozumieniem wśród wszystkich, którzy będą mogli w niej wziąć udział.

bezbronnych żołnierzy. Wystąpił podoficer polski pytając rotmistrza pruskiego, czy atakowanie bezbronnych jest zgodne z jego honorem wojskowym. W odpowiedzi na to Niemiec uderzył podoficera pałaszem. Stało się to hasłem do walki. Żołnierze polscy, uzbrojeni w wyrwane z sąsiedniego płotu koły, uderzyli na konie i rozproszyli oddział huzarów. Dopiero sprowadzona pomoc wojskowa zdołała Polaków osaczyć i uwięzić w jakiejś szopie.

Podobne wypadki rozegrały się w Nowym Stawie 29 grudnia i w Tczewie 3 stycznia. W Tczewie stawili opór żołnierze jazdy polskiej. Zamknięto ich na mrozie w szopie o chlebie i wodzie. Widownią najgroźniejszych wypadków stało się Fiszewo, gdzie znajdował się oddział żołnierzy i podoficerów jazdy polskiej pod dowództwem majora Żebrowskiego. W dniu 27 stycznia 1832 r. udał się tam major pruski Szwykowski, aby sporządzić listę osób skompromitowanych, które w związku z tym nie mogą skorzystać z amnestii. Na tym tle doszło do nieporozumień. Polacy nie godzili się na klasyfikację przeprowadzaną przez Szwykowskiego. W wyniku sporu oddział pruski asystujący majorowi dał kilka salw do bezbronnych żołnierzy polskich. Ośmiu z nich zginęło, dwunastu odniosło rany. Ten tragiczny wypadek, zwany rzezią żołnierzy polskich w Fiszewie stał się głośny w Europie przynosząc hańbę władzom pruskim. Żołnierze polscy spod Fiszewa udali się spokojnie na nowe leże przez Malbork, gdzie napędzili trochę strachu tamtejszemu dowódcy, podpułk. pruskiemu Krajewskiemu. Breński rozdzielił wśród nich dary nadesłane przez ludność z Poznańskiego.

Rząd pruski nie zapisał się dobrze w pamięci wojska polskiego. Ludność polska z zaboru pruskiego, a także postępowa część mieszkających tu Niemców nie szczędziła trudu, aby przyjąć z pomocą Polakom, okazać im swą życzliwość. Jakub Riesen z Elbląga zasłużył sobie na wdzięczność wielu żołnierzy polskich, a spotkał się z szukaniami władz pruskich (na co skarżył się w jednym ze swych listów do gen. Bema). O takich właśnie jak Riesen pisał w „Notatkach oficera” Konstanty Gąszyński: „Nigdy nie będziemy się skarżyć na obywateli Prus Wschodnich, z którymi obcowaliśmy kilka miesięcy w największej zgodzie, owszem miłe nam zawsze zostanie wspomnienie dobroci ich serca i gościnności”.

Ciężkie jeszcze czasy mieli przejść żołnierze (jak np. ci spod Tczewa), zanim poprzez więzienia w twierdzach Grudziądzka i Gdańska udało im się dostać na zachód. Oficerom poszło łatwiej. Nieoficjalny, ale faktyczny ich przywódca, wykazujący najwięcej energii w organizowaniu emigracji, gen. Józef Bem już w grudniu wyjechał z Elbląga do Francji, aby bić się w przyszłości wszędzie tam, gdzie toczyła się walka narodów przeciw ciemnościom. Po latach kilkunastu stał się on jednym z przywódców powstania węgierskiego i symbolem przyjaźni polsko-węgierskiej.



SKOŃCZYŁO SIĘ JAK PRZEDSTAWIENIE W BANIACH

JANUSZ BOGDANOWSKI

...to przysłowie odnoszące się do zdarzenia sprzed 400 z górą lat, którego tragicznej zagadki długo nie mogłem rozwiązać. Banie — to małe zachodnio-pomorskie miasteczko w powiecie Gryfino. Data za datą przemawia ze stron kroniki Bań historia miasteczka, tak bardzo na pozór podobna do innych.

Nieoczekiwanie dziwna wzmianka: „...1498. Przedstawienie pasyjne, z których słynie miasto, skończyło się nagłą śmiercią Chrystusa, Marii i Longina. Od tego dnia przedstawienia są na zawsze zakazane.”

Jaka była przyczyna śmierci aktorów i zaniechania przedstawień? Niestety, o tym kronika milczy. Po pamiętnym przedstawieniu pozostaje tylko przysłowie będące symbolem tragicznego epilogu: „Skończyło się, jak przedstawienie w Baniach.”

Droga wije się wśród wzgórz i lasów. W dolinach błyszczą tafle jezior. Jeszcze jeden zakręt i ogromna przestrzeń obramiona po krańcach lasem. Pośrodku dwa jeziora. Za nimi, na lekko pochylonym stoku doliny, miasteczko — Banie.

Spośród pól wyrasta zielona kępa drzew i sadów. Między nimi bielą się ściany i czerwienią dachy domów. Im bliżej środka tym więcej bieli i czerwieni. A nad wszystkim piętury się i mieni kolorami granitowych ścian masywna bryła kościoła św. Magdaleny.

Droga zbiega w dół aleją ku szerokiej grobli między jeziorami. Mija gotyckie mury kaplicy św. Jerzego. Przebiega groblą między lipowymi szpalerami. Wreszcie pnie się pod górę uliczką wśród piętrowych domków na rynek.

Właściwie nie ma tu rynku. Obok ratusza trójkątny placik przechodzi w szeroką, długą ulicę. Zbiegają się wzdłuż niej kamieniczki, ulica-plac zwęża się i nagle kończy kępą drzew. Dalej fosa po dawnych obwarowaniach miejskich, pola i las.

Ale jeszcze przed fosą, w lewo odbiega szerokim łukiem uliczka idąca wzdłuż dawnych murów miejskich, do których poprzyrastały domy. Przy jej końcu stromy, czerwony dach fary św. Magdaleny. Obok, za

plebanią, mała okrągła baszta — pozostałość murów miejskich. Za kościołem uliczka wychodzi z powrotem na rynek i ratusz.

Może tutaj na miejscu będzie można znaleźć rozwiązanie „bańskiej zagadki”. Pierwsze kroki kieruję do ratusza. Jego mury być może pamiętają jeszcze czasy sławnych przedstawień, jednak archiwum przepadło. Starych dokumentów nie ma.

Nad drzewami rynku i murami ratusza góruje masywna przysadzista, wieża św. Magdaleny. Może tam?

Potężne mury pną się rzędami równo ociosanych, granitowych kosek. W ogromnych płaszczyznach ścian prezbiterium, wąskie jak strzelnice, wysokie, półkolistie przesklepione okienka. W nawie pod okapem nisko schodzącego dachu, gęsto żebrowane ceglanyimi łaskami wielkie, gotyckie okna. Wewnątrz poważny nastrój romańskiej bazyliki. Trzy nawy rozdzielone potężnymi łukami arkad, nakryte belkowanym stropem.

Ale i tutaj wojna zniszczyła archiwum. Mury, choć pamiętają połowę XIII wieku, nic opowiedzieć nie potrafią. Potrafiłyby może przemówić dopiero po dokładnym zbadaniu, po poznaniu ich dziejów zawartych w kronikach, rozproszonych w dokumentach.

Znowu wertowałem kroniki, stare książki, opisy i ryciny. Początkowo z trudem wynajdywałem oderwane wiadomości. Potem, w miarę postępu

badan całe miasteczko poczęło nabierać życia. Pewne wypadki zaczęły się łączyć razem. Powoli ukazywał się mglisty, ale przecież tworzący jakąś całość ciąg wypadków. Banie przestały być dla mnie anonimowym zbiorowiskiem budynków. Stały się żywym organizmem, którego dzieje toczyły się niegdyś wartkim i burzliwym nurtem.

Z górą 800 lat temu szeroką, bagnistą doliną Tywy, między jeziorami, po grobli do dzisiaj stojącej przechodziła misja Bolesława Krzywoustego. Wiódł ją św. Otton, biskup bamburski. Tym jeziorem właśnie i owej grobli Banie zawdzięczały swe znaczenie. Rozlewiska Tywy łączyły się źródłami z puszczą i bagnami nad Wartą, a ujściem z rozlewiskami Odry pod Gryfinem. A więc na długości ok. 40 km naturalnym obwarowaniem broniły dostępu do pszenicznej ziemi pyrzyckiej — pomorskiego spichlerza. Niewiele było przejść przez to naturalne obwarowanie. Jedno z najwygodniejszych znajdowało się właśnie tu, między jeziorem Mostowym a Długim. Tu też na straż przejścia stanęły Banie. Nazwę ich Niemcy wywodzą od nadtywińskich bagien¹. W herbie patronka miasta, św. Magdalena, trzymała latarnię wskazującą drogę przez bagna. Tędy też przebiegały szlaki handlowe i trakty. Przed groblą między jeziorami schodziły się drogi z północy i z południa aby wejść do miasta przez Chojeńską Bramę, a za Pyrzy-

ką rozejść się ku Myśliborzowi i Pyrzycom².

Wraz z nową wiarą pojawiają się w Baniach nowe budowle. W pierwszej połowie XIII wieku powstaje kościół — bazylika św. Magdaleny. Kościół ten wzniesiono tak, aby nie tylko mógł służyć za miejsce modlitw, ale by mógł też bronić wyznawców. Dlatego wewnątrz ozdobione bogato pięknymi freskami, i filary, wsparte na bazach z „listkami”, zamknięto w masyw potężnych murów. Mury te przebito tylko wąskimi i małymi oknami, a od zachodu dostawiono obronną wieżę, szerszą od trzech naw bazyliki. Pierwotną wieżę kościoła znamy, niestety, tylko ze sztychu na tzw. Mapie Lubina z 1617 roku, gdzie przedstawiona jest schematycznie oraz z planu wykonanego przy przebudowie w latach 1853/54. Wieża ta była prostokątna, zbudowana z kostek granitowych. Od zachodu posiadała okazały portal. W grubości muru (ok. 3 m) w południowo-zachodnim narożu znajdowały się schodki. Z kościołem wieża łączyła się wejściem do trzech naw korpusu³.

Od zachodu zbliża się niemieckie niebezpieczeństwo. Banie muszą bronić bramy do ziemi pyrzyckiej. To też drogą kresowej twierdzy potoczą się ich dzieje.

Nieopatrzna darowizną w r. 1234 Barnim I Dobry, książę pomorski, chcąc ustrzec granice księstwa przed Brandeburczykami, oddaje Banie i ziemię bańską zakonowi templariuszy. Rychło okazuje się jednak, że chcąc zabezpieczyć się przed jednym wrogiem oddał kraj drugiemu.

Odtąd zaczyna się walka całej ziemi przeciwko obcym przybyszom. Wprawdzie w 1312 r. po kasacji zakonu templariuszy ziemię i miasto przekazuje papież Klemens V joannitom, od których herb Bań otrzymuje krzyż joannicki. Zmienia to tylko nazwę właściciela, ludzie pozostają ci sami — Niemcy. W 1345 roku zakon zwraca wreszcie miasto księżętom pomorskim w osobie Barnima III. Na tę pamiątkę herb miasta otrzymuje pomorskiego gryfa⁴. Joannici zatrzymują jednak obwarowania miasta. Walka mieszczan z obcymi przybyszami zaostrza się. Miasto pragnie pełnej samodzielności.



Scena z widowiska pasyjnego, wg drzeworytu ok. 1400 roku.

Stąd, znad brzegów Długiego Jeziora komtur joannitów kazał porwać córkę soltysa bańskiego oraz jej dwie przyjaciółki i uwięzić w swobnickim zamku. Udało im się jednak wydostać z wieży i uciec do miasta. Na pamiątkę tego wydarzenia południowy kraniec Długiego Jeziora otrzymał nazwę „Komturskiego Brzegu”.

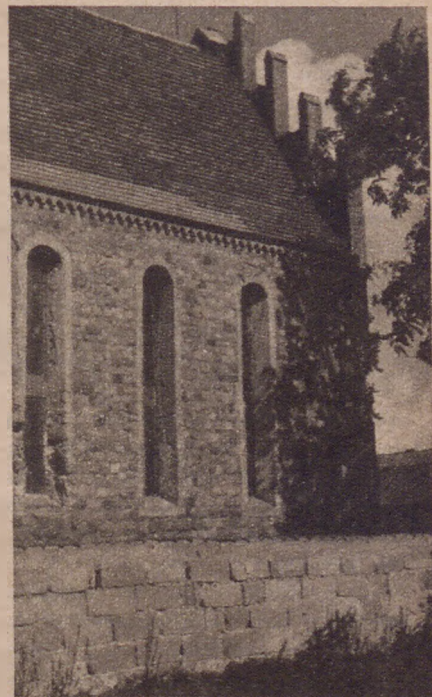
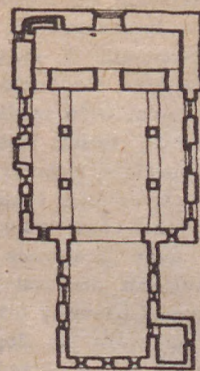
Świadkiem innego epizodu walk mieszczan z rycerskim zakonem był most na grobli. W czasie jednego z zatargów rycerz joannicki chciał się przez ten most przedostać do miasta. Mieszczanie jednak obluźowali deski. Gdy joannita wjechał konno na most — deski zapadły się. Napastnikowi udało się utrzymać na belce, skąd jednak mieszczanie długim drągiem strącili go do rzeki.

Nie tylko wody Tywy i warowny kościół broniły miasta. Otaczała je również odpowiednio wykopana, szeroka na ok. 10 m fosa, zalewana wodami jezior oraz wały. W 1270 r. Banie otrzymują nowe umocnienia. Składają się one z muru, 20 baszt i 2 bram. Mur gruby na 1,3 m wznosił się na wysokość ok. 6 m, co wraz z głębokością fosi dochodzącą do 3 m stanowiło poważną przeszkodę. Od wewnątrz mur ten posiadał drewniany ganek dla straży. Ciekawą formę miały 2 bramy miejskie: Chojeńska od strony jezior i Pyrzycka od wschodu. Nie były to bowiem, jak przeważnie w innych murach miejskich, bramy wieżowe, ale po prostu niskie kamienne budynki z bramami. Tę pierwotną formę w postaci podbudowy z granitowych kostek zobaczyć jeszcze można w bramach pobliskiego Trzcina i Gryfina⁵.

Z 20 baszt w Baniach zachowała się dziś tylko jedna. Daje ona jednak dobre wyobrażenie o systemie obronnym miasta, gdyż wszystkie baszty były niemal takie same⁶. Zachowana baszta nie imponuje wielkością. Wprost przeciwnie, zaskakuje małymi wymiarami. Na granitowym cokole stoi cylinder ceglanej wieży — 8 m wysokości, 4 m średnicy. Na górze, dostępnej przez wąskie drzwi z murów, mogło się pomieścić najwyżej 3 ludzi obsługujących 3 strzelnice. Mimo niepozornych rozmiarów baszty doskonale spełniały swe zadanie dzięki regularnemu rozstawieniu ciągów murów. Z każdej niemal wieży nie tylko widoczne były sąsiednie, ale i przy strzelaniu z niej z łuku czy kuszy dzięki nieznacznej odległości bronić można było i ich. Tym sposobem w połączeniu z ogniem z murów możliwa była nie tylko obrona czołowa, ale i flankowa. Tę zaś na tak szeroką skalę rzadko stosowano w średniowieczu.

Nic też dziwnego, że mury miejskie odegrały poważną rolę w dziejach miasteczka. W roku 1399 na oględziny ich przybył Detloff von Valmoden, znenawidzony joannita. W toku sporu mieszczanie zabili go podobno właśnie w tej do dziś dnia zachowanej baszcie. Tragiczny ten wypadek wyzyskali joannici zmuszając mieszczan do wystawienia przed miastem „krzyża morderstwa”⁷.

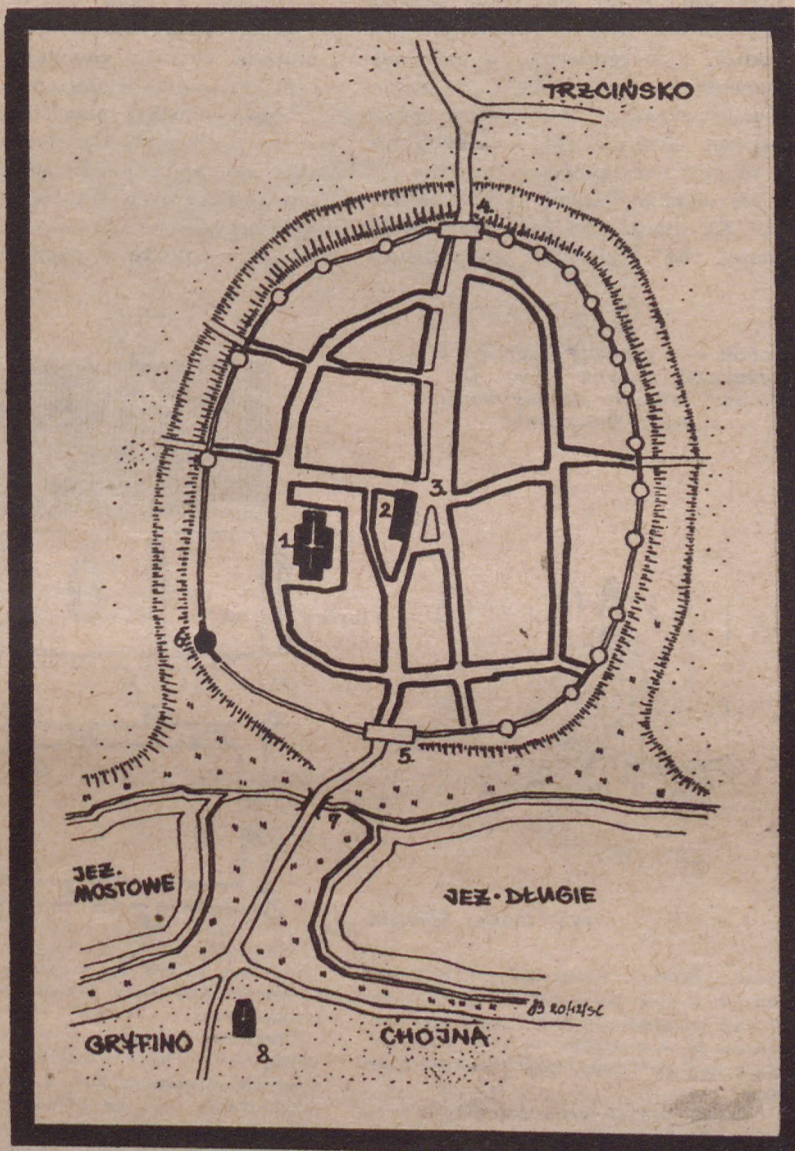
W roku 1478 u bram miasta staje nowy wróg, Brandenburczycy. Banie zostają zdobyte i doszczętnie spalone, ale dzięki swej uporczywej obronie wraz z innymi twierdzami państwa pomorskiego zatrzymały wojska Albrechta Achillesa, przeciw



(u góry z lewej) Kościół św. Magdaleny w Baniach na Pomorzu Zachodnim. Wszystkie zdjęcia i rysunki autora.

(u góry — w środku). Plan kościoła św. Magdaleny w Baniach przed przebudową, wg H. Lemckego.

(u góry — z prawej) Romańskie okna prezbiterium fary w Baniach. W połowie XIX wieku przedłużono je o 1/3 długości w dół.



(obok) Plan Bań. Dawniej jeziora zalewały większy obszar i nawadniały fosy. 1 — kościół św. Magdaleny, 2 — ruina ratusza, 3 — rynek, 4 — tu dawniej stała Brama Pyrzycka, 5 — tu Chojeńska, 6 — Baszta Prochowa, 7 — Most na grobli, 8 — ruiny kaplicy św. Jerzego.

(poniżej) Ruiny kaplicy św. Jerzego, dawniej kaplicy szpitalnej z 1417 roku. Przy niej właśnie odbywały się przedstawienia pacyjne.



kórym stanął książę pomorski Bogusław X.

W dwa lata później następuje drugie oblężenie, tym razem również tragicznie zakończone dla miasteczka. Brandenburczycy, aby mieć i na przyszłość otwarte przejście przez Tywę, nie tylko niszczą samo miasto, ale i burzą część jego murów, które tyle kłopotów sprawiły im na drodze do wnętrza kraju. Wojska Bogusława X są zbyt słabe, by sprostać brandenburskiej potęgze. Dopiero Kazimierz Jagiellończyk, pośrednicząc w zawarciu rozejmu między Pomorzem a Brandenburgią, ratuje państwo pomorskie od katastrofy.

Po tym burzliwym okresie nastają lata spokojne. Banie rozwijają się, zaczynają słynąć nie tylko z handlu jak inne miasta, ale z czegoś o wiele rzadszego, mianowicie z przedstawień pasyjnych.

Tego rodzaju religijne misteria, szczególnie rozpowszechnione w średniowieczu — rozwinięły się z przedstawień mimicznych odbywanych w kościołach podczas uroczystości wielkotygodniowych. Na główną ich treść

składała się męka i śmierć Chrystusa, inscenizowane w oparciu o teksty Ewangelii. Z czasem przedstawienia pasyjne rozwinęły się w całe cykle przedstawień wielkanocnych o poszerzonej treści, wzbogaconej licznymi epizodami z życia Chrystusa i świętych. Finałem takiej inscenizacji było Zmartwychwstanie.

Czas powstania przedstawień pasyjnych nie jest ściśle znany. Spisane fragmenty tekstów i inscenizacji zachowały się dopiero w kronikach XIII wieku. Przedstawienia pasyjne były szczególnie rozpowszechnione we Francji i Niemczech, gdzie np. w prowincjach katolickich przetrwały do XVIII w. podlegając współczesnej aktualizacji. Do najnowszych czasów przetrwały znane widowiska pasyjne wystawione w Obermammern (Bawaria), zapoczątkowane w tej miejscowości w roku 1634 i z czasem zmodernizowane, odgrywane przez paruset aktorów, wywodzących się z ok. 1/3 mieszkańców.

Na takie to właśnie przedstawienia do XV-wiecznych Bań przybywały tłumy, by podziwiać miejscowych

artystów. Aż nagle u szczytu sławy wszystko kończy się tragicznie.

Oto niewielki trójkątny placzyk u zbiegu chojeńskiej i gryfińskiej drogi, nad jeziorem przed bramą miejską. Przy nim wśród chaszczy, zarosłe krzakami i pokrzywą ruiny gotyckiej kaplicy „św. Jerzego. Między przyporami wschodniej ściany tkwią dwa zardzewiałe haki. Na nich właśnie owego pamiętnego dnia 1498 roku wisiał krzyż, na którym zabito aktora grającego rolę Chrystusa. Na tym placyku rozegrała się ostatnia scena przedstawienia. Ale jak do tego doszło?

Zupełnie nieoczekiwanie odpowiedź przyszła sama. Dostarczyła mi jej mała, zapomniana książeczka L. Ziemssena wydana w 1863 r. Przerzucam szybko kartki sprzed niemal stulecia chciwie chwytając treść i sens opisanych wydarzeń.

Sława bańskich przedstawień sprawiła, że powstały tam zespoły aktorów zajmujące się urządzaniem widowisk pasyjnych. Najważniejszą rolą była oczywiście rola Chrystusa. Toteż nic dziwnego, że w pamiętnym roku

1498 ubiegało się o nią aż dwóch aktorów. W rezultacie, gdy jeden z konkurentów odgrywał rolę Chrystusa, drugi — dziwnym zbiegiem okoliczności — został Longinem. Gdy przedstawienie dobiegało końca i „Chrystus” umierał na krzyżu przybitym do ściany kaplicy św. Jerzego, „Longin”, poniesiony zawiścią, przebił na oczach tłumu „Chrystusa”. Powstał tumult. Wzburzony tłum rzucił się na „Longina”. W zamieszaniu zginęła również „Maria”.

W ten sposób do znanego mi łańcucha historii miasteczka przybyło jeszcze jedno małe ogniwo.

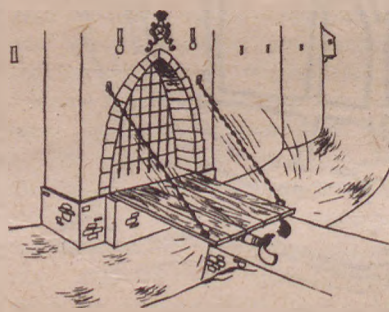
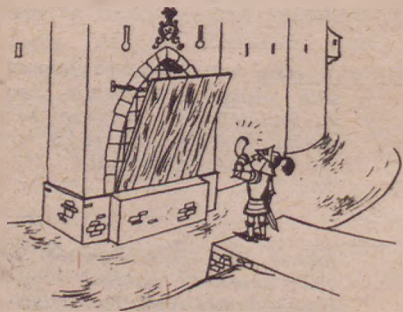
Uliczką ku bańskiej farze, całą szerokością idzie stado krów. Z naprzeciwka od fary — stadko świni. Spotkanie. Ryki objają się o ściany kamieniczek. Ale z okien nikt nie wygląda. Szyby powybijane, bramy zięjące pustką, pozamykane sklepy. Domy walą się z braku opieki. Smutny obraz ruiny i opuszczenia.

Miasteczko kończy się „jak przedstawienie w Baniach”.

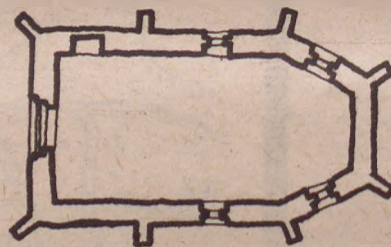
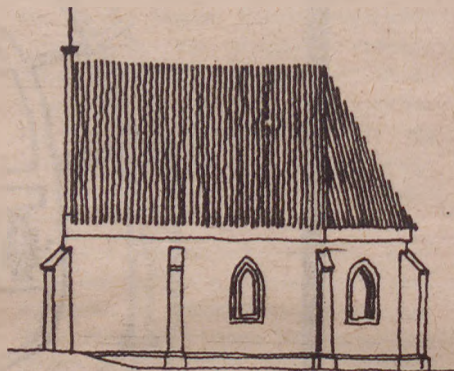
Janusz Bogdanowski

(obok z lewej) Plan i elewacje kaplicy św. Jerzego (poszpitalnej) w Baniach wg H. Lemckiego.

(obok — z prawej) Stado krów przeciąga główną ulicę. Działające Banie to smutny obraz ruiny i zniszczenia.



rys. Janusz Smólski



Wrocław i Bań odnosząca się do końca XV w.

	Mury (średnio)		ilość	
	wysokość	grubość	baszt	bram
Kraków	8 m	2,2 m	17	7
Wrocław	7,5 „	1,2 „	ok. 50	7
Banie	6 „	1,3 „	20	2

PRZYPISY:

¹ Niemcy (*Pommern in Wort und Bild*, praca zbiorowa, Stettin 1904) wywodzą nazwę Bań od słowiańskiego „bahno” = bagno, co łączyłoby się z bagnistym terenem doliny Tywy. Pierwotne nazwy w dokumentach (*Pommersches Urkundenbuch*, Stettin 1868) brzmiały: Banen, Bahne, Banis, to deme Bane. W związku z tym nasuwa mi się przypuszczenie, że nazwę należałoby raczej wywieść od

„bani”. Bania „...kawał pola o obwodzie kulistym a w środku wyniosły”. (F. Stawski, *Słownik etymologiczny języka polskiego*). Odpowiada to w zupełności nie tylko położeniu miasteczka, ale i jego okolicy pokrytej „baniami”.

² Oprócz przejścia przez dolinę Tywy bronionego przez Banie, również inne przejścia były obwarowane. I tak, przejścia pod Trzcimskim broniły mury miejskie, w Swobnicy zamek, a u ujścia do Odry — miasto Gryfino. Jasne jest, że miasta powstały na najruchliwszych drogach handlowych.

³ Piękne freski, sklepienia i kolumny kościoła św. Magdaleny uległy zniszczeniu w za-

sie pożaru w 1690 roku. Przy przebudowie w połowie XIX wieku odkryto pod tynkami fragment bazy z „listkami”.

⁴ Herb Bań jest trudny do ustalenia w pierwotnej postaci, gdyż najstarsze jego okazy (pieczęcie miejskie z XVI w.) mają różny układ. Święta a czasem królowa, trzyma na tych pieczęciach w ręce naczynie lub latarnię. W 1880 roku herb zrekonstruowano i przyjęto w następującej postaci: św. Maria Magdalena z naczyniem w ręce, obok w lewej u góry gryf na tarczy, niżej krzyż joannicki.

⁵ O sile obwarowań tego miasteczka pomorskiego świadczy najlepiej następująca tablica porównawcza murów miejskich Krakowa,

⁶ Obwarowania Bań znane są ze sztychu Lubina ok. 1617, gdzie już są niekompletne. Mury przy bramie Chojeńskiej są wyburzone, a częściowo zastąpione palisadą i fosą. Niemniej poza tym miasto ma nieprzerwany pojedynczy ciąg murów z dwoma bramami i 20 basztami.

⁷ „Krzyż morderstwa” był zwykle wykonywany z kamienia z wykutym napisem — kto, kiedy i przez kogo został zamordowany. Stawiano go przeważnie w miejscu morderstwa, w miastach — przed bramą. W Baniach krzyż wystawiono w roku 1299. W 1553 darowana zostaje kara pieniężna, a dopiero w 1589 roku, po 200 niemal latach, zniesiono krzyż.

Z DAWNYCH KRONIK I INNYCH ZABYTEKÓW PIŚMIENICTWA

AMBROŻEGO GRABOWSKIEGO — OPIS TENCZYNA SPRZED 136 LAT

Nikomemu, kto zajmował się historią Krakowa, nie może być obce nazwisko Ambrożego Grabowskiego. Jeden z pierwszych historyków miasta, autor serii starożytnych przewodników, a właściwie historycznych monografii Krakowa i jego zabytków. Dzisiaj dzieła Ambrożego Grabowskiego posiadają już tylko wartość głównie bibliofilską, chociaż pamiętać należy, że wiele wiadomo-

ści historycznych, wyrażonych w bujnym, kwiecistym języku epoki, budzącym obecnie u niejednego uśmiech — wyczytanych po raz pierwszy z dokumentów i najstarszych opisów — stało się źródłem dla obecnego stanu wiedzy. Ujęte współcześnie w zwięzły, naukowy język zawierają często jedyne znane prawdziwe historyczne.

Ambroży Grabowski pokusił się

również o opisanie ważniejszych miejscowości, głównie z terenu współczesnej mu „Rzeczpospolitej Krakowskiej”, rozciągającej się na obszarze obecnego powiatu chrzanowskiego i części krakowskiego. Fragmenty charakterystycznego, romantycznego, pełnego nastroju i sentymentu do minionej świetności — opisu zamku tenczyńskiego, zaczerpnięte z wydania z roku 1830 — za-

mieszczamy poniżej (z zachowaniem pisowni):

„Zamek ten, którego ruiny szczyt wysokiej góry zalegają, a fundamenty zdaia się bydy wrosli w skałę, zbudował w r. 1319 Nawoy z Przeginy herbu Topór, Wojewoda sandomierski, a potem Kasztelan krak. Po śmierci jego Tęczyn przypadł działem synowi jego Jędrzejowi Wojewodzie krak., i odtąd familia ta przybrała imię Tęczyńskich i ciągle go używała.

Z wielu względów gród ten ważnym jest dla dziejów naszych, był bowiem gniazdem znakomitego plemienia, którego imię obok dzieł przeważnych zawsze wspominać bywa, a o którym Niesiecki IV. p. 338: „Dom ten w koronie polskiej bez wątplenia jeden z nacylniejszych, jak zawsze w godnych krzewił się ludzi, tak też naysprzedniejsze zasiadał w nagrodę zasług swoich w tey oyczyźnie krzesła.” — Z pośród murów zamku tego, wielu mężów miło-

ścią nauk, dzielnością w boju a zdrową radą u steru rządu sławnych, pochodzenie swe wywiódł; a tak mówi Jan Kochanowski w pamiętce Janowi Tęczyńskiemu Wojewodzie belzkiemu, co mu śmierć wczesną małżeństwa z Cecylią królową szwedzką dopełnić przeszkodziła:

Wiodłeś swoy ród wysoki z domu
[Tęczyńskiego,
Z kąd ustawicznie, iako z konia Trojańskiego,
jeden po drugim ludzie wielcy wychodzili,
Którzy doma y w polu godni w Polsce byli."

— W dalszym ciągu, cytując Pa-prockiego, wspomina Grabowski renesansową przebudowę zamku, dokonaną 1570 przez Jana Tęczyńskiego:

„Dawna budowla tego zamku nie wiadomo iaką bydź mogła, bo Pa-procki Herby ryc. pol. p. 42 pisze: „Jan Hrabia Tęczyński wielkim kosztem zmurował prawie znowu zamek na Tęczynie, mil tylko cztery od Krakowa” — i następane wiersze dodaje:

Do góry Tęczyńskiej

Ciesz się tym góro, iżeś się zdołała
Pany możnymi, których przodków siła
Na twoim grzbiecie gniazdo sobie stali,
A imię Tęczyn na wieczny czas dali.
Ale się już cieszyć więcej z Jana tego,
Który cię z mułu a prochu dawnego
Otarszy, z pracą ozdobił twe czoło,
Mury y wały tak otoczył w koło,
Że w krótkim czasie, pozorem, ozdobą,
Sławna Wąwelną nie porówna z tobą.

Do zamku Tęczyna

Przypatrz się Hrabów swoich tej wielkiej
[możności,
Przypatrz się y tytułom takowej zacności.
Ci iaką twoim ścianom ozdobę czynili,
Szeroko cię sprawami swoimi stawili:
Wspomniż też gdyś był wyszedł z ich tak
[możney ręki,
Jakoweieś prze nierząd sprosney zażył męki.
A tak mię w tym usłuchaj, dzierz się mych
[słów śmieie,
Strzeż się abyś nie przyszedł w ręce do
[kądziele.

Zważając na górzyste położenie grodu tego, widać że w dawnych czasach znaczną był fortecą. Otaczały go mury i wysokie wieże, które acz w półzwalone jeszcze groźnie nad okolicą panują. W r. 1655 oblegali go szwedzi pod wodzą Königsmarka (syna), i znacznego doznali oporu. W końcu gdy im się na mocy układów poddał, Königsmark łamiąc wiarę traktatu pozabijał w nim ludzi wielu, a przez obdzieranie kobiet i bezbronych imię swe ohydą nacechował. Lecz mu nie uszła bezkarnie zdrada takowa; bo w krótko potem uchodząc przed ścigającymi go Polakami, na przepławie przez Wisłę pod Kwidzynem utonął. (Kochow. II. p. 61. 176). Od tego zaięcia przez szwedów gmach ten pustoszeć zaczął: a nawiedzony pożarem, oraz potracany zaniedbaniem i siłą czasu, nakoniec runął i szczętami swemi dawną posadę zasypał.

Zasługują na zwiedzenie okazałe rozwaliny Tęczyna, z których ogromu dawna jeszcze przebiła wspaniałość. Głębokiej samotności miejsca tego nie przerywa teraz ani szczęk oreża, ani wołanie straży, iak w czasach gdy tu przemożni mieszkali Toporczykowie; zaledwo ciszę jego zamieszka przenikliwy głos nocnego ptaka, i szum jodłowego lasu, który do zwalisk jego przypiera. A co czołwiek z tak nadzwyczajną wzniosłą pracą a potem opuścił, natura w swe objęta panowanie i na znak tego na zabytkach spustoszenia zaszczepiła życie. Na starym murze rozpostarła się zielona z roślin zasłona, a na gzymsach samotna sosna zamieszkała. W otworach okien i rozpadlinach ciósów korzeni się jarzębina, a gdy iey pobyt na zimnym gładzie nie miły, przeto zwieszka ku ziemi gałązki, nakształt tęsknego dziecięcia które za matką ręce wyciąga.

...Góra, która dźwiga te zwaliska, złożona z Porfiru lub migdałowca, znaioma w świecie geognostycznym, ile że o niej różni zagraniczni wspo-

minają pisarze; we względzie mineralogicznym jest iedną z nayważniejszych gór w oyczyźnie naszey, a okolice iey obfitują w kwarce, ametysty, chalcedony. Widok z iey szczytu nader jest piękny: od wschodu otacza ją przestrzeń piaskowa, bogata w kopalnie węgla kamiennych (w wiosce Tęczynku), tego dobrodzieystwa przezornej Natury, dla krainy mało lasow mającej iak krakowskie: i gdyby nie ten produkt którego nam ziemia z wnętrzości swych obficie dostarcza, opał w Krakowie i okolicach do naywyższej doszedłby był ceny." —

(Oprac. MK)



(u góry — z prawej) Zamek tenczyński około r. 1830, wg litografii Głowackiego.

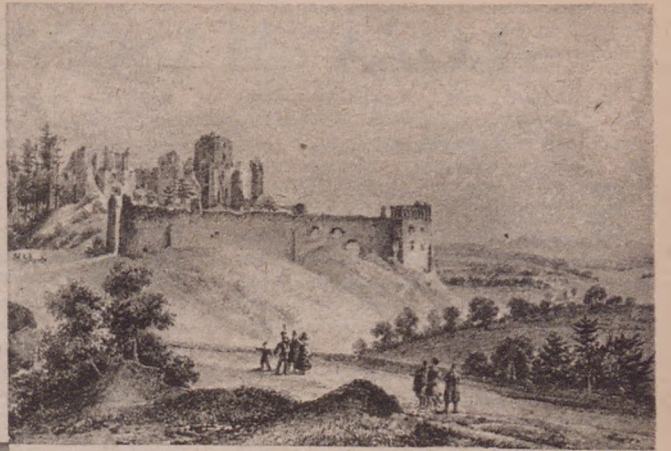
(powyżej) Obecny widok ruin zamku Tenczyn od strony południowej.

Fot. Marian Kornecki.

(obok) Fragment ruin zamku Tenczyn.

Fot. Marian Kornecki.

(u dołu) Ruiny zamku tenczyńskiego, litografia wykonana wg rysunku Vogla z r. 1807.



LOŻA MASOŃSKA W KONINIE

Z. Pęcherski

Słowo mason, loża masonska, wzbudza w nas zwykle dreszcz zainteresowania, a także czasem pewien lęk przed tajemniczą, jakby się wydawało, wszechpotężną niegdyś organizacją.

W Koninie istnieją tradycje istnienia loży masonskiej w kilku punktach miasta. A więc pod koniec XIX wieku mieściła się ona jakoby w pałacyku szwajcarskiego przemysłowca Rajmunda. Starsi ludzie mówią o tajemniczym pokoju, całym wymalowanym na czarno. Inna tradycja mówi, że loża mieściła się przy placu Wolności w gmachu starego gimnazjum. Katalog Zabytków sztuki w Polsce w tomie V, zeszyty 8 podaje jako lokal loży dom przy ul. Kilińskiego 9.

Innego zdania są jednak mieszkańcy Konina. Twierdzą oni, że przy ul. Kilińskiego 9 mieściła się nie loża masonska, lecz żydowski dom modlitwy. W dużej sali, na plafonie polichromia przedstawiała firmament z gwiazdami ozdobiony instrumentami muzycznymi i ornamentem akantu. Nad wejściem umieszczona była panorama Jeruzalem. Interesująca polichromia została niestety zamalowana na polecenie inspektora pracy, który stwierdził, że „niehigienicznie jest pracować” w sali ze starymi, obdrapanymi częściowo, malowidłami.

Loża masonska natomiast znajdowała się ponoć gdzieś indziej. Zachowały się po niej w Koninie obok tradycji dokumenty, pieczęć i order. W oparciu o te materiały spróbujemy odtworzyć historię loży.

Nosiła ona nazwę „Sprawiedliwej

i Doskonałej Loży św. Jana na wschodzie Konina, pod nazwiskiem Pallas”. Powstała 11 września 1818 roku. Raport z listopada tegoż roku podaje nazwiska i stopnie 32 zwyczajnych członków, 5 członków honorowych i dwóch braci służących. Członkowie rekrutowali się z różnych sfer i reprezentują rozmaite zawody. Należy tu b. marszałek sejmiku powiatowego, kamerjunker Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, wojskowi, pracownicy sądu, lekarz, właściciele ziemscy, różni urzędnicy, kupcy, fabrykanci itd. Nie ulega wątpliwości, że loża skupiała przedstawicieli wszystkich ważniejszych urzędów i instytucji, mogła więc w zasadzie odgrywać znaczną nawet rolę w życiu miasta, a może i okolicy.

Mistrzem katedry był Adam Bronikowski. Józef Bronikowski (zapewne jego syn) pełnił funkcję mówcy. Nic więc dziwnego, że Józef zaawansował wkrótce na dozorcę loży i objął funkcję komisarza wojewódzkiego delegowanego na obwód koniński.

Loża istniała tylko 3 lata. Już we wrześniu 1821 namiestnik królewski, Zajączek, wydał postanowienie kasujące loże masonskie w Królestwie. Ciekawe, jak ten były generał kościuszkowski i uczestnik kampanii Napoleona przemienił się w wierne go sługę carskiego. Argumentuje on bowiem konieczność likwidacji loży następującymi słowami: „Okoliczności, w których żyjemy, są tej natury, że każde zgromadzenie się tajemne, choćby w najlepszym celu, nie może, jak wzbudzać podejrzenie...”

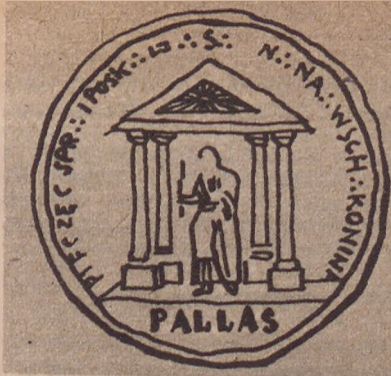
Na tyle jednak były silne wpływy ówczesnych masonów, że likwidato-

rami loż masonskich zostali z ramienia władzy administracyjnej... właśnie wysocy dostojnicy wolnomularscy. I tak w Kaliszu likwiduje loże Radoszewski, drugi po Szultzu dostojnik masonski. W Koninie jest likwidatorem wspomniany wyżej Józef Bronikowski, komisarz obwodu konińskiego, równocześnie dozorca loży i syn mistrza katedry.

Władze przystąpiły z co najmniej podejrzaną gorliwością do likwidacji loży. Dobrze znający zamiary rządu, Bronikowski, pali przeto archiwum loży, protokoły, rachunki i wszelkie papiery. Komisji Centralnej przesyła tylko rytuały w postaci 10 klejnotów urzędniczych, pieczęć mosiężną do laku i pieczęć do tuszu. Wydzierżawiony na loż lokal zostaje bezwzględnie opróżniony i oddany właścicielowi.

Z raportu wysłannika rządu Hoffmana, dowiadujemy się, że loża pozostawiła kilka długów, które zlikwidowano z sumy uzyskanej ze sprzedaży ruchomości. Komisja Centralna zakwestionowała sposób likwidowania loży, a szczególnie zniszczenie papierów. Zobowiązano więc „Wielki Wschód Polski”, któremu podlegała loża do odnalezienia aktu założenia loży. Dzięki temu akt ten jest nam obecnie znany.

Jeszcze 21 marca 1825 roku musiał Bronikowski złożyć przysięgę, że wszystkie papiery i sprzęty obrzędowe loży Pallas zostały zniszczone, poza odesłanymi do Warszawy. Tak to udało się wolnomularzom konińskim ukryć swoje tajemnice i odłonić z nich tylko to, co sami zechcieli.



(u góry) Znak loży Pallas w Koninie. Krzyż z brązu złoczonego, ramiona pokryte czerwoną emalią. Zbiory Muzeum Czapskich w Krakowie.

(poniżej) Pieczęć lakowa loży Pallas na Wschodzie Konina. Archiwum skarbowe w Warszawie.



RECENZJE

Kazimierz Sajsse-Tobiczyk, *Pod Wierchami Tatr*. Warszawa 1956.

Jest to pierwsza polska książka krajoznawcza, która tak bogato uwzględniła człowieka i dzieła jego rąk, która potrafiła zrozumieć i odpowiednio wyukłkować rolę, jaką w krajoznawstwie odgrywa jego mieszkaniac.

Dotąd w literaturze krajoznawczej mieliśmy dwa rodzaje dzieł: takie, które mówiły o przyrodzie — o krajoznawstwie, roślinach, zwierzętach, oraz takie, które zajmowały się dziełami rąk i talentu ludzkiego — architekturą, malarstwem, rzeźbą prawie wyłącznie elitarną. Mimo że od dwunastu lat jesteśmy re-

publiką „ludową”, jakoś najmniej zainteresowania okazywano właśnie temu „ludowi”.

Czasem, jeśli chcemy usłyszeć trafną ocenę własnych stosunków, warto posłuchać zdania kogoś stojącego z dala od naszych spraw, a więc nie obciążonego naszymi tradycyjnymi sędziami, o świeżym obiektywnym spojrzeniu. Wielokrotnie rozpytywałam cudzoziemców o zdanie o naszym kraju i naszej literaturze krajoznawczej. Prawie zawsze słyszałam te same skargi. Każdego cudzoziemca oprowadza się i obwozi po niezliczonej ilości zabytkowych budowli i muzeów, co mówią szczerze nudzi ich mocno. Jeśli są to ludzie, którzy poza Polską coś niecoś widzieli, na pewno nie będą oszołomieni skromnym naszym gotykiem czy renesansem. Nasze galerie sztuki, gdzie z pietyzmem unosi się przewodnik nad jedynym Leonardem lub wątpliwym Rafałem, nikomu, kto zwiedzał muzea Francji, Hiszpanii czy Włoch, nie potrafią zaimponować. Cudzoziemiec wtedy przeżywa uczucia mniej więcej podobne do tych, jakich my doznajemy zwiedzając któreś z uroczych zresztą muzeów prowincjonalnych. Nawet Tatry nie są czymś zgoła innym i wspanialszym od Alp, a Baltyk, obawiam się, nie należy do najbardziej malowniczych mórz świata.

Jedynie, co u nas jest naprawdę inne niż w reszcie Europy i świata, naprawdę własne i oryginalne — to nasza kultura ludowa, wiejskie budownictwo, barwne stroje, tańce, ciekawa obyczajowość. To wszystko stanowi nasz własny dorobek, nie jest bezpośrednim odbiciem prądów kulturalnych Zachodu,

ale czymś rodzimym, powstałym w odmiennych warunkach niż ogólnoeuropejska sztuka elitarna, wyrosłym z własnego narodowego podłoża. A tego wszystkiego nie ma w stereotypowym planie zwiedzania Polski, opracowanym dla cudzoziemców. Nie znajdujemy też tego w literaturze popularnonaukowej ani w wydawnictwach o charakterze albumowym. A Dlaczego? Dlaczego w hallu hotelu nowojorskiego leżą książki o strojach ludowych na Morawach, w poczekalni aeroportu w Limie można przeglądać barwne prospekty Czechosłowacji z fotografiami tańców i malowanych chałup, w Londynie w kiosku na stacji kolejki podziemnej można dostać albumy folkloru jugosłowiańskiego, a w paryskich księgarniach wydane z tekstem francuskim ludowe hafty bułgarskie? Tylko o Polsce wszędzie głucho, a jeśli już coś jest, to w miarę możliwości rzeczy, które u nas najbardziej przypominają Zachód.

Przy tym wszystkim pamiętajmy o tym, że jeśli weźmiemy krąg kultur europejskich, to poza narodami słowiańskimi i peryferiami bałkańskimi i północnymi nigdzie już albo prawie nigdzie nie dochowała się kultura ludowa. W wielu krajach, jak np. w Anglii, Belgii, Holandii nie ma jej już, praktycznie rzecz biorąc, zupełnie, w innych krajach odgrzebuje się jej okrucy. Tymczasem we wschodniej i południowej Europie ludność żyje jeszcze swoim dawnym bardziej tradycyjnym życiem — i ona właśnie stanowi prawdziwą atrakcję turystyczną, prawdziwą odrębność narodową, przedmiot prawdziwego zainteresowania reszty świata.

Dajmy już jednak spokój cudzoziemcom, a weźmy przeciętnego Polaka, a nawet przeciętnego krajoznawcę, który zna polskie Tatry, morze, pojezierze mazurskie, Bieszczady i co ciekawsze miasta i miasteczka. Czy wie on cokolwiek o polskim chłopie i jego kulturze? — na pewno bardzo mało! Zna może zabytkowe drewniane kościołki wiejskie, trochę budownictwa wiejskiego i ewentualnie widział tu i ówdzie ludowe stroje, ale nic więcej. Zna to, co może zauważyć przechodząc przez wieś, której nie udało się ominąć przy wytknięciu szlaku turystycznego. Czy zdaje sobie sprawę, że poza progami, na który wynosi mu mleko wiejska gosposia, kryje się tajemnica — tak, bez przesady, tajemnica. Zyją tam ludzie, którzy już często jeżdżą autobusami, słuchają radia, tańczą tango, a którzy jednocześnie nierzadko oborywują ziemniaki drewnianym plugiem, strzegą pilnie bydła przed czarownicami, chore dziecko przeciągają pod korzeniami drzewa i widują jeszcze strachy, duchy, boginki i inne mamony. Ale nie tylko średniowiecze ukryte głęboko w duszach ludzkich, jak zabytki wymarłych kultur w głębi ziemi, oczekuje na swego archeologa. W kulturze ludowej poza niezwykle wprawdzie ciekawymi przeżytkami dawnej gospodarki, dawnych przesądów i wierzeń jest wiele elementów barwnych, świeżych, które należy poznać, ochronić od zapomnienia, pozwolić się im twórczo rozwinąć. Jest to cała przebogata plastyka ludowa, folklor muzyczny i tańce, bogata tradycja literatury ustna, architektura itd.

Co więcej, kultura ta jest inna w każdym prawie powiecie, w mniejszych nawet od powiatów regionach, czasem ograniczonych do kilku wsi.

Czy krajoznawca wie o tym? Czy próbował z tego punktu widzenia ułożyć sobie marszrutę wakacyjnych wczasów wędrownych? Sądzę, że w całej Polsce nie znalazłoby się takich turystów więcej niż kilku — a może i to nie.

Czyja w tym wina? Na pewno nie samych turystów. Winę ponoszą tu przewodniki turystyczne, gdzie przeważnie ani słowa o mieszkańcach ziem, których



Kazimierz Sajsse-Tobiczyk

POD
WIERCHAMI
TATR

dotyczą. Dalej, pisma krajoznawcze, gdzie znów zmowa milczenia wokół naszej wsi, wreszcie (i to przede wszystkim) wydawnictwa krajoznawcze w rodzaju albumów-monografii różnych ziem Polski.

Tak, Saysse Tobiczek pierwszy w naszej literaturze krajoznawczej pokazał Podhalę nie jako bezludną krainę o pięknym krajobrazie i ciekawej architekturze miejskiej (może dlatego, że na Podhalu na szczęście nie ma zabytkowych miast? — nie bądźmy jednak złośliwi), ale jako region, gdzie bardzo ważnym składnikiem tego krajobrazu jest człowiek. Redagując stronę ilustracyjną swej książki potrafił w mistrzowski sposób połączyć archaizm podhalański (np. s. 95—97, 153) ze współczesnością (np. mali narciarze na s. 60 i 61. Liceum Technik Plastycznych na str. 148 i 149), pewien patos odświeżył „prawdziwie podhalańskich” scen, jak redek, wesele, tańce, ze scenami bardzo zwykłymi, bardzo codziennymi i chyba najlepiej zbliżającymi nas do dzisiejszego górala, jak np. doskonała scena południowego posiłku (str. 112), prace rolne na str. 122 i 123 czy dzieci na str. 132 i 133. Wszystkie niemal strony życia górali, które udało się utrwalić za pomocą kamery, autor potrafił uwzględnić.

Jeszcze raz stwierdzamy, że danie monografii fotograficznej pewnego regionu etnograficznego jest pomysłem pionierskim w naszej literaturze i że materiał

ilustracyjny, doskonały nie tylko technicznie ale i artystycznie, daje nam pełny obraz życia człowieka na tle krajoznawstwa górskiego. Pod tym względem książka godna jest naśladowstwa i trzeba sobie życzyć, by jak najwięcej znalazła naśladowców.

Prócz działu ilustracyjnego jest tekst słowny, napisany gładko, dobrze pod względem literackim — ale... Tych „ale” jest kilka. Najbardziej istotne spostrzeżenie budzi obraz Podhala i góralszczyzny, jaki z dużą zresztą swadą literacką maluje autor. Daje nam on wizję dzikiego kraju, o surowym klimacie, gdzie przez cały niemal rok szaleją dujawice i kurniawy. Krajem tym niepodzielnie włada puszcza — groźna, wroga człowiekowi, który przybył tu jako łowca i zbieracz dzikich owoców leśnych. Jego głównym zajęciem jest nieubłagany bój z puszcza. Dalsze jego zajęcia — to polowanie i chodzenie na zbój i choć teoretycznie wiemy, że zajmowano się tam rolnictwem i hodowlą, odkładamy książkę z wrażeniem, że jednak myślistwo i „chodzenie za bucki” stanowiły podstawowe zajęcia, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej większości górali.

Tę heroiczno-romantyczno-tetmajerowską wizję góralszczyzny ogląda się ze szczerym zainteresowaniem — czy odpowiada ona jednak prawdzie? Nie tu miejsce na zbijanie punktów po punkcie twierdzeń autora. Faktom jest jednak,

że z tą „puszczą” na Podhalu już od wieków było kruczo, a tam, gdzie była, niosła raczej bogactwo niż postrach (w lasach wypasano stada owiec, brano stamtąd drzewo, plody leśne...). Co do zajęć — byli i polowcy, i zbójnicy, ale procentowo rzecz biorąc, ilość ich była znikoma. Za to ich czyny działały na fantazję i, jakby to dziś można powiedzieć, „wiele się o nich gadało w towarzystwie”.

Nie chodzi jednak o same fakty, ale o szersze zagadnienie. Jak wybrnąć z trudnego zadania — podania obrazu jakiegoś kraju i ludzi? Czy odtworzyć go z tradycji i folkloru, które jak wiadomo przeprowadzają selekcję, obdarzają długim życiem fakty nadzwyczajne, a pomijają codzienność, czy też trzymać się szczerzej prawdy zwykłego codziennego bytu? Innymi słowy, czy dla ludu charakterystyczni są jego herosi i ich bohaterkie czyny, czy zwykły tłum, który tylko o nich może marzyć? Sądzę, że prawda leży pośrodku i zarówno wersja wyłącznie bohaterka, jak i wyłącznie prozaiczna będzie odbiegać od prawdy.

Książka krajoznawcza powinna nie tylko zainteresować czytelnika podając mu to, co najciekawsze, najbarwniejsze i co rozbudza fantazję, ale powiedzieć mu, jaki ten kraj jest naprawdę, co tam znaleźć można — by nie uległ o pozostawieniu rozczarowaniu przy pierwszym zetknięciu się z rzeczywistością.

KILKA SŁÓW O ZJAWISKACH KRASOWYCH J. KUNSKIEGO

Czekaliśmy bardzo długo na jakąkolwiek książkę o jaskiniach. Z radością więc uchwyciliśmy nowość na półkach księgarskich. Była to książka J. Kunskiego, w tłumaczeniu z czeskiego W. Mioduszeńskiej, pod redakcją A. Wrzoska, pt. *Zjawiska krasowe*. Radość nasza była tym większa, że oryginalny tytuł brzmiał *Kras a Jaskyne*. Sama książka liczy aż 207 stron, zawiera wiele pięknych rysunków i bardzo pouczających zdjęć.

Czytamy pierwsze słowa A. Wrzoska, wstęp autora podpisany nieco starą datą i wreszcie tekst...

Niestety, wiele jest w książce miejsc, które budzą uzasadnione chyba wątpliwości. Weźmy pierwszy z brzegu przykład. „Podstawowe procesy krasowe. Podstawowym procesem przy powstawaniu i rozwoju form krasowych jest rozpuszczanie skały krasowej przez wodę. W wyniku rozpuszczania powstają małe i duże formy krasowe na powierzchni terenu krasowego; ich powiększanie się prowadzi wreszcie do rozpadu i zaniku terenu krasowego, czyli do usunięcia jego rozpuszczalnej masy z powierzchni ziemi. Rozpuszczona masa krasowa zostaje odprowadzona

w roztworze wodnym z terenu krasowego”. Jeszcze na terenie krasu!... Czy to nie masło maślane? Na stronie 78 dowiadujemy się nawet, że materiał gruzowy gromadzi się u stóp „zboczy krasowych”. A więc istnieją już nie tylko „skały krasowe” jako odrębny rodzaj skał, ale nawet „zbocza krasowe”! Oczywistym błędem jest stwierdzenie na str. 132, że „perły jaskiniowe są to drobne kulki wapienne (lub aragonitowe)”. Zapewne miało to oznaczać, że mogą być kalcytowe lub aragonitowe, ale trzeba to wiedzieć, aby zrozumieć, o co autorowi chodzi. Tego rodzaju błędów, niestety, jest znacznie więcej.

Książka, którą omawiamy, napisana została właściwie w roku 1941. W tym czasie autor nie mógł zebrać nawet bieżącej literatury, ze względu na izolację spowodowaną wojną. Świadczy o tym spis literatury obejmujący zasadniczo pozycje stare, tu i ówdzie tylko ozdobiony pozycjami z lat późniejszych. W całej pracy jednak zasadniczo nic nie zmieniono od czasu jej powstania. Wstarczy powiedzieć, że od roku 1946—1949 autor cytuje jedynie dwanaście pozycji; lwią część w tym spisie stano-

wią prace autora, znajdujemy tu również dwie prace polskie (K. Kowalskiego i starszą, Malickiego). Gdzież jest co najmniej kilkadziesiąt pozycji literatury, szczególnie zachodniej, które ukazały się w wymienionym okresie? Dość powiedzieć, że autor, bardzo zresztą powierchownie, streszcza *Jaskinie Polski* K. Kowalskiego, bez cytowania go. Dziwić się należy, że Państwowe Wydawnictwo Naukowe zdecydowało się na wydanie tak przestarzałej książki. Byłoby chyba bardziej celowe, gdyby wydać cykl najbardziej nowoczesnych artykułów zagranicznych. Musiałyby być wśród nich przede wszystkim artykuły geologiczne, dalej biogeologiczne, klimatologiczne i inne. Nie należałoby przy tym łączyć zagadnień krasowych i speleologii w jednym wydawnictwie. W oparciu o bardziej rzeczowe omówienie procesów krasowych należałoby rozwinąć tę drugą gałąź wiedzy. Takie przedstawienie zagadnień mogłoby dopiero pobudzić zainteresowania licznych naukowców i zachęcić ich do pracy w tej zacofanej jeszcze u nas dziedzinie wiedzy.

Zbigniew Wójcik

Niestety, w Polsce literatura popularnonaukowa jest bardzo słabo reprezentowana. Utarło się mniemanie, że albo książka jest naukowa, wtedy musi być ścisła i... nudna, albo popularna — wówczas napisana jest interesująco, ale bez „kurczowego” trzymywania się faktów. Stąd naszym czytelnikom podaje się czasem do wierzenia dość dziwne historie. Niestety także u Saysse-Tobiczka wkradło się trochę takich lapsusów. Dla przykładu podam kilka: Str. 63 „...drżą ledwie rozwite, drobne listeczki brzozy” — kolo Bukowiny brzozy? Str. 76 „Muzyka góralska i tańce halne” — na fotografii — zbójnicki. Str. 90 Powrót owiec z hal: „Z polany na polanę schodzą coraz niżej w poszukiwaniu resztek zielonych traw. Koczują jeszcze przez krótkie dni wrześnie w reglowych zboczach, a z nadejściem sloty i jesiennych chłodów powracają w doliny. Tak od dawnych, zamierzających już czasów odbywa się co roku tatrzański redek”. — Niestety tak się nie odbywa. Istnieje prawo własności hal i polan i nie można paść na cudzym lub trzeba za pasienie słono płacić. Około św. Michała owce schodzą z właściwej hali wprost do wsi. Jeśli śnieg spadnie zbyt wcześnie, lub zbyt późno wiosną ustępuje z hal, a przy tym brak paszy zimowej we wsi, niektórzy bacowicze wynajmują łąki niższe na przepaski — ale to rzadko. Str. 103 „Okienko od komory... w Budzewie” — chyba błąd zecerzki; Budzewa nie ma na Podhalu, zresztą sama forma nie podhalańska, nawet nie małopolska. Str. 115. Było to „...kiedy na Podtrazu zaczęto uprawiać górski len i ziemniaki” — len jest o parę setek lat starszy na Podhalu od ziemniaków. Str. 118 „Zdobitł później izbę własnymi, malowanymi na szkle obrazami” — zdobył, ale nie własnymi. Obrazy te kupowano na odpustach i jarmarkach, chodzili też po wsiach w XVIII i z pocz. XIX w. obraznicy (przybywali głównie z południowej strony Karpat), którzy nosili ze sobą przeważnie czyste szkła i farby i na miejscu malowali świętych czy zbójników — co sobie gazda zamówił. Str. 126 Kubinówna z „rękawami haftowanymi starym ornamentem” — konkretnie ten wzór na Podhalu liczy sobie nie więcej niż 10—15 lat. Str. 141 „artystyczne wyroby ceramiki podhalańskiej” — częściowo made in CPLiA — a ludzie będą się zachwycać, co za kapitalny prymitywizm i co za stylizacja!

Na zakończenie o stronie stylistycznej. Jak już nadmieniono, książka jest dobrze napisana, tylko — jakby to powiedzieć — może zanadto literacka i wciąż utrzymana w równie silnym napięciu dramatycznym bez względu na to, o czym mowa. Początkowo oczarowują, ale po parudziesięciu stronach już trochę męczy. Na szczęście ostatni krótki rozdział *Dolinami góskich rzek* ma już o wiele spokojniejszą atmosferę, jest prosty, jasny, a przy tym ciekawy i płynnie napisany.

Anna Kowalska-Lewicka



ŁUK TRIUMFALNY

ŁUK TRIUMFALNY w Slesinie w pow. konińskim, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze „Ziemi” zainteresował naszych czytelników. Świadczą o tym liczne listy, a p. Henryk Kosicki z Poznania nadesłał nam ponadto zdjęcie, które zamieszczamy obok.

Do redakcji „Ziemi”. Tego rodzaju czasopismo jak „Ziemia” przedstawi olbrzymią wartość dla badaczy emigracyjnych, jeśli oczywiście dotrze w odpowiednie ręce. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że najlepszym miejscem depozytu są główne biblioteki zagraniczne, i chciałem podkreślić nie tylko w Paryżu, Londynie, Rzymie czy Waszyngtonie. Przy okazji muszę wypowiedzieć cierpkie słowa pod adresem czynników krajowych: zaopatrywanie zagranicznych ośrodków naukowych ze strony kraju jest traktowane z igracą słowiańskim zaniedba-

nem. W przeciwieństwie do Polaków — Niemcy stale corocznie dostarczają zagranicznym bibliotekom DARY (przez duże „d”) złożone z pełnych kompletów odpowiednich publikacji naukowych. Swego czasu, przypadkowo, byłem świadkiem jak ambasador Niemieckiej Republiki Federalnej w Rzymie (1954) składał w darze olbrzymiej wartości księgozbiór Instytutowi Wschodniemu. Zapewniał Pana, że nie jest to wypadek odosobniony. Tymczasem księgozbiórów polskich, wszędzie jak na „lekarstwo”... Nie można mieć za złe ludziom, przyzwyczajonym do wyrafinowanego systemu reklamowego, że gdy czegoś nie znajdują na wystawie lub w katalogu na miejscu, po prostu uważają, iż nie istnieje. Tak też olbrzymia większość ludzi obcych nie jest świadoma tego co możnaby o Polsce interesującego dowiedzieć się. A dwa pierwsze numery „Ziemi” mówią dobitnie o tym, że jest dużo materiału wysokiej wartości mogącego zainteresować nie-Polaków.

Jakub Sobieski, Bruksela

ŚREDNIOWIECZNA RZEŻBA W KAPLICZCE PODLASKIEJ



Fot. Ewa Fryś

Drewniana rzeźba przedstawiająca Marię z Dzieciątkiem na tronie z trudem mieści się w niszy murowanej kapliczki słupowej. Kapliczka stoi na skraju polnej drogi do Twarogów Lackich w powiecie siemiatyckim. Latem mimo swoich sporych bądź co bądź rozmiarów (1 m wysokości) trudno ją dostrzec, tonie bowiem w pękach zieleni i kwiatów, jakimi ma kapliczkę okoliczna ludność. Ta zielen i pokrywająca rzeźbę gruba skorupa farby — efekt wielokrotnych przemalowań — powodują, iż na pierwszy rzut oka skłonny jest zaliczyć ją do grupy stosunkowo późno powstałych rzeźb ludowych. Jakież więc było nasze zdumienie, gdy po wydobyciu Madonny spod przykrywających ją zieleni ujawnił nam się w całej pełni kunszt średniowiecznego snycerza, widoczny zwłaszcza w misternym układzie szat.

Gotycka rzeźba z Twarogów, wykonana w drzewie lipowym jest drążona, i stosunkowo bardzo dobrze zachowana. Nikła nić tradycji wiąże ją z dawnym kościołem w Perlejewie. Znalezienie tego typu rzeźby średniowiecznej w jednej z przydrożnych kapliczek wschodniego Podlasia jest niemałą rewelacją, gdyż łączność tych terenów z Kościołem chrześcijańskim datuje się, jak wiadomo, dopiero od czasów Władysława Jagiełły. Gdy się ponad to weźmie pod uwagę fakt, że mieszkający tu wówczas Jadrzyngowie nie garnęli się zbyt ochoczo pod skrzydła nowej wiary, odkrycie okazu średniowiecznej sztuki sakralnej, tak rzadkiego w tym regionie, nabiera jeszcze większego znaczenia.

Odkrycie średniowiecznej Madonny w podlaskiej kapliczce zwraca równocześnie uwagę na dalsze tego rodzaju możliwości odkrywcze, a także zobowiązuje badaczy i inwentaryzatorów dzieł sztuki do jeszcze dokładniejszej penetracji terenu. Najłatwiej bowiem o przeoczenie właśnie w owych przydrożnych kapliczkach, tak mało na ogół pod tym względem obiecujących. Przykładem tego może być choćby pominięcie w dwóch tomach Katalogu Zabytków Sztuki w Polsce (woj. krakowskie i łódzkie, P.I.S. Warszawa 1953, 1954) stosunkowo wielu cennych i interesujących obiektów zabytkowych.

M. Przędziecka

W pierwszym numerze „Ziemi” zamieszczona została notatka o ciekawym okazie dawnego ślusarstwa — interesującej wykładce ochraniającej zamek w drzwiach starego domu w Koniecpolu.

Niemniej ciekawy przykład pomysłowości w użyciu elementów zdobniczych znajdujemy w okuciach kowalskich na drzwiach wejściowych do gotyckiego kościoła w Małujowicach w powiecie brzeskim w województwie opolskim.

Kościół w Małujowicach jest znany historykom sztuki i wymieniany w literaturze fachowej jako cenny

je można jako fantastyczne. Ale przecież największy lecący ptak z rozpostartymi skrzydłami, to zapewne jakiś drapieżnik, może jastrząb lub orzeł. I mniejszy ptak, nabity ponad zamkiem przypomina coś znajomego — może nawet zwykłą wronę? — a wśród grupy trzech niewielkich ptaków — środkowy — to przecież wyraźnie kogucik, kroczący na szeroko rozstawionych nogach.

Niestety okucia są bardzo zniszczone i stanowią zapewne tylko resztki jakiejś bogatszej całości. I chociaż nie będziemy przypisywać zachowanemu zabytkom kowalstwa szczegól-

ŻELAZNE PTAKI

zabytek architektury z początku XIV wieku, posiadający wartościowe wyposażenie wnętrza, wśród którego wymienić trzeba malarski wystrój ścian i stropu kościoła, pochodzący z XV i XVI wieku. Natomiast okucia drzwi uchodzą uwagi wchodzących do wnętrza poprzez bogato rzeźbiony portal, a i one są niecodzienne: wśród dekoracji, oprócz charakterystycznych, geometryczno-roślinnych motywów zdobniczych — zauważysz tu można wykute z żelaza ptaki, tu i ówdzie nabite na deski. Ptaki te, przedstawione prymitywnie i w miarę naiwnie, pozostawiają patrzącemu możliwości swobodnego domysłu co do swego gatunku, określić

nej wartości — okucia świadczą o dużej fantazji i swobodzie w doborze motywów zdobniczych wykazanej przez dawnych rzemieślników. Okucia w Małujowicach związać z jakąś określoną datą będzie trudno, zwłaszcza że zostały one przeniesione na obecne drzwi już tylko we fragmentach. Niemniej charakterystyczny motyw geometryczno-roślinny, masowo rozpowszechniony i stosowany jeszcze od czasów średniowiecza pozwala cofnąć przypuszczalny czas powstania zachowanego zabytku może jeszcze na wiek XVI czy nawet XV.

(MK)



Żelazne okucia drzwi kościoła w Małujowicach w pow. brzeskim (woj. opolskie). Są to zapewne tylko resztki jakiejś bogatszej całości.

Rys. autora.

Polichromia stropu kościoła w Małujowicach, malowidło szablonowe, pochodzące z przełomu XV/XVI w. Analogiczne polichromie stropów posiadały niektóre kościoły w okolicy, m. in. w pobliskich Gierszowicach, Zielęcicach (spalony w 1945 r.) i Gaci. Polichromia stropu w Małujowicach wykazuje wiele cech wspólnych z malowidłami znanych kościołów drewnianych w Dębnie i Harklowej na Podhalu.

Fot. Marian Kornecki.